

1062

RIEMENS JOHANNES

CHARITATIS

LIBER



Wrocław, 1900

7 123 St. „Gospoda Polska“  
za przetrzymanie książki poza wskazany termin  
abonament płaci 5 fen kary za każdy dzień.

57-42

20/11

15/11 W





# CZARNEBŁOTO

PAJĄKI WIEJSKIE



KLĘMENS JUŃOSZA

---

# CZARNEBŁOTO

**PAJĄKI WIEJSKIE**

POWIEŚĆ

*H/123*

TOM PIERWSZY - II

BIESIADA LITERACKA

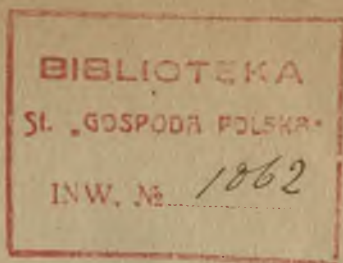
<http://rcin.org.pl>



I-2605







## ROZDZIAŁ I,

**w którym mowa o misternem świecie urządzeniu, o siatce koronkowej, rozciągniętej na jego powierzchni, tudzież o niejakiem filozofie, mniej głośnym.**

Jeżeli patrzymy na zegarek powierzchownie, nie widzimy nic osobliwego: cyferblat i dwie wskazówki; ale gdy otworzymy kopertę i zapuścimy wzrok do wnętrza, da nam się widzieć cała, prześlizczna, delikatna maszynerya: koła, kółeczka, kawałeczki, sprężynki skombinowane, skomplikowane dziwnie, połączone ze sobą.

Każda cząstka pełni swoją czynność. Każda wykonywa ruchy, ściśle wyrachowane i określone.

Rozumie się, że człowiek zwyczajny i nieogładzony, zdatny tylko do ciężkiej pracy, do łopaty lub siekiery, nie pozna się na kunsztownej mechanice, ale zegarmistrz, okiem znawcy, zgłębi jej wszystkie tajniki.

Odnosi się to nietylko do zegarka, ale i do całego świata, który, jeżeli się głębiej zastanowimy, jest nie co innego, tylko ogromny zegarek. Biorąc to zdanie wprost, naodwrot, jeszcze raz naodwrot i w znaczeniach przenośnych, kombinując je z tem, co widzimy oczami, dotykamy rękami i czego wreszcie domyślamy się siłą naszego umysłu, przychodzimy do rezultatów zdumiewających i do wniosków

takich, które człowieka, nieprzyzwyczajonego do ciągłej pracy myśli, mogą przyprawić o gwałtowny ból głowy, a nawet i o gorszą słabość.

Uszer Engelman nie lękał się takiego wypadku dla dwóch powodów: przedewszystkiem był biegły w myśleniu jako największy filozof miasteczka; powtóre zachowywał ściśle przepisy higieny umysłowej, to jest: nosił czapkę jedwabną bardzo lekką, tył głowy strzygł nader krótko, a co trzy tygodnie na karku, w tem miejscu, gdzie się głowa kończy, a szyja zaczyna, kazał stawiać sobie jedną ciętą bańkę.

Jest to znakomity i wypróbowany środek na to, ażeby głowa była zawsze zdrowa, a umysł bystry i lotny.

I to jeszcze dodać należy, że Engelman nie miewał nigdy zbyt obciążonego żołądka. Jadał on raz na tydzień rzeczy pożywne, i to w niewielkiej ilości, a przez sześć dni pozostałych żywił się tylko chlebem, kartoflami, cebulą lub rzodkwią.

Może dlatego, może jeszcze dla innych przyczyn, widział on wiele rzeczy nie w takim świetle, w jakim widzą je zwyczajni ludzie i rozumiał to, co dla głów ciężkich wcale nie jest dostępnem.

Ten to człowiek usiłował przeniknąć kombinacye mechanizmu świata i nieraz całemi dniami i nocami nad tem pracował.

Dlaczegoby nie?

Przedewszystkiem miał głowę, powtóre miał dużo czasu, potrzebie lubił myśleć. W takich warunkach można kombinować swobodnie i tyle, ile się podoba.

On też kombinował.

Czasem kreślił kredą na czerwonym stole figury geometryczne i wpatrywał się w nie okiem bystrem. Ze wszystkich, jakie znał i jakie rysować

umiał, najbardziej podobało mu się koło, jest ono albowiem zamknięte doskonale, samo przez się przedstawia obraz skończonej całości, a jego obwód nie posiada ani początku, ani końca.

Kombinując dalej, spostrzegł, że jeżeli z jednego punktu zakreślać koła, z początku małe, potem większe i znowuż większe, to się utworzy dużo kół, mających wspólny środek, a jeżeli nakreślać koła z różnych punktów, to się utworzy dużo kół, mających środki każde na swój rachunek i bynajmniej nie wspólne.

Zachodzi pytanie: co komu z tego przyjdzie? Cierpliwości!

Dajmy na to, Engelman mieszka w miasteczku, które się nazywa Czarnełoto i dajmy na to, że to miasteczko Engelman obrał sobie za centrum, za środek koła. Jeżeli rzuci okiem na wschód i na zachód, na południe i na północ, to zobaczy, że miasteczko otoczone jest płaszczyzną, wydającą się oku ludzkiemu wielkiem kołem, zakreślonym przez promień tak długi, jak daleko ludzkie oko widzi.

Cóż jest na tej płaszczyźnie, mającej dokładną formę koła? Są wioski: Olszanka, Brzozówka, Wierzbówka, Zatraceniec, Koziedołki, dwie Wole i trzy Wólki: Ciepła Wola i Zimna Wola, Biała Wólka, Kurza Wólka, Lisia Wólka. Co więcej? Są lasy, pola, łąki, stawy, rzeki, młyny, folwarki, chaty chłopskie — a środkiem tego koła jest Czarnełoto.

Idźmy dalej.

Jeżeli Engelman pojedzie o dwie mile dalej, przypuśćmy, że do swego brata, albo szwagra, gdyż posiada rozległe stosunki familijne, to znajdzie miasteczko Białełoto, które znów dla swej okolicy będzie centrem koła, o trzy mile dalej to samo, o pięć, dziesięć, piętnaście, trzydzieści, jeszcze to samo.

Gdyby na wielkim arkuszu papieru odmalować fizyonomię naszego świata, jego podobiznę, wziętą z lotu ptaka i gdyby oznaczyć wszystkie punkta centralne i wszystkie koła, zrobiłby się śliczny, misterny, delikatny deseń, z samych kół i punktów skombinowany, coś w rodzaju koronki brabanckiej lub... pajęczyny. I znowuż pytanie: Do czego to prowadzi? Co znaczy deseń?

On dużo znaczy.

Wobec owej siateczki delikatnej jest fizycznym niepodobieństwem, aby jeden chociażby korczyk zboża, wymłócony w chłopskiej stodole, choćby jedno ciele, wyhodowane w oborze, choćby jedna kura, jedno jajko, mogło wydostać się z tej sieci i wyjść po za jej granice, nie zawadziwszy o jakikolwiek centr.

Owóż na tem właśnie opiera się cały finansowy i życiowo praktyczny mechanizm, który bystrem okiem obserwuje i bada cichy filozof, Uszer Engelman.

Engelman żywi to przekonanie, że niema siły, któraby mogła rozerwać zadziergnięte oczka tej siatki i popsuć delikatny deseń koronki, którą pokryte jest oblicze ziemi, niby twarz pięknej oblubienicy, mającej stanąć pod baldachimem ślubnym.

Ale nareszcie: któż jest Engelman?

Powoli... Z taką osobą nie można naglę, tembardziej, że i odpowiedź na to pytanie łatwa nie jest.

Możnaby wprawdzie powiedzieć odrazu: Engelman, to jest Engelman — i byłaby to odpowiedź względnie dobra, ale zakrótka i nie mająca znaczenia dokładnej informacyi. Nie można też powiedzieć, że Engelman, jest to Izraelita, zamieszkały w miasteczku, zwanem Czarnebloto, bo w Czarnembłocie



mieszka trzy tysiące dwustu siedmdziesięciu pięciu Izraelitów, licząc w to kobiety i dzieci.

Nie można również powiedzieć, że Engelman jest kupiec lub kapitalista, gdyż handlu on nie prowadzi, a cały jego majątek, ruchomy i nieruchomy, oszacowany bardzo grubo i hojnie, wart jest, licząc w to część domu, kosztowności, meble, garderobę i bibliotekę, osiemdziesiąt dwa ruble i coś kopiejek.

Trudno też powiedzieć, że jest to mąż uczony, gdyż uczonych w Czarnembłocie jest co najmniej trzystu. — Ale jeżeli powiemy, że Engelman jest to Uszer Engelman, tośmy powiedzieli wszystko.

Usłyszawszy to imię i nazwisko, małe dziecko cmoka ustami, jak gdyby zjadło makagigę, mąż gładzi się po piersiach, jakby po wypiciu kielicha zielonej szabasówki, a kobiety wyrażają swój zachwyt westchnieniami i mówią:

— Oj, oj! to chluba całego miasta, to jest ozdoba Syonu!

Jak wygląda ozdoba Syonu?

Zaprawdę, wcale niepokaznie i niktby się nie domyślił, że wielki duch mieszka w takim marnem ciele. Ozdoba Syonu trzyma się pochyło, lewą łopatkę ma wystającą, oczy podkrażone, powieki z czerwoną obwódką, nos długi, twarz kościstą, brodę i wąsy rzadkie, rude, przyprószone gęsto siwizną.

Tak wygląda ozdoba Syonu.

Szaty na nim nie rażą elegancją, przeciwnie, jest w nich raczej wielki urok zaniedbania.

Kapota u dołu nosi na sobie zeszloroczne błoto, nie brak na niej łat na dziurach, ani dziur na łatach, buty są ozdobą szczątkową, pas bawełniany, czarny niegdyś, jest tak spłowiały, że najbiegłęjszy farbiarz nie potrafiłby nazwać jego obecnego koloru.

Słusznie powiedział o Engelmanie pewien mąż,

że podobny on jest do starego i bardzo już zniszczonego futerału, zawierającego w sobie cenny klejnot. Z futerału tego skóra zupełnie oblaźła, wypłował on, zrudział i napozór nie posiada żadnej wartości, ale proszę go otworzyć i zobaczyć, co w nim wewnątrz jest!

Wielki brylant!

Dlatego też, pomimo powierzchowności niepokażnej, Engelman przyjmowany bywa z honorami u wszystkich notablów czarnobłockich. Kupiec zbożowy, taki, co ma tysiąc rubli własnych pieniędzy w obrocie, ubiega się o jego przyjaźń; panowie kahalni zapraszają go do towarzystwa; żonę ma z wielkiej rodziny, wprawdzie nie bogatej, ale bardzo znacznej, z takiej, w której byli wielcy uczeni i rabini. Dzieci dał mu Pan Bóg siedmioro, śliczne potomstwo! Używa on poważania i miru w całym Czarnobłocie, a słowo jego cenione jest na wagę złota.

Engelman jest obywatelem miasteczka, posiada on w jednej czwartej części szóstą część z połowy nieruchomości przy ulicy pryncypalnej, co daje mu mieszkanie w jednej połowie stancyi do wspólni ze szwagrem, a jego żonie prawo gotowania kaszy i kartofli na wspólnym kominie.

Z czego Engelman żyje?

Na to pytanie on sam nie potrafiłby odpowiedzieć.

Majątku nie posiada, dochodów stałych nie ma, niestałe trafiają mu się tak rzadko, że niema ich co liczyć. Żona jego cokolwiek handluje i utrzymuje dom — sam zaś Engelman, pogrążony w kombinacjach wyższych, nie zajmuje się tak pospolitemi kwestyami, jak to, co jego dzieci dziś lub jutro jeść będą.

Dzięki takiemu odosobnieniu się od spraw pry-

watnych, Engelman zrobił kilka znakomitych odkryć, pomiędzy innymi to, że niemasz takiej wioski, do której nie prowadziłaby droga przez miasteczko, ani takiego miasteczka, do którego droga nie wiodłaby przez wioskę; że zaś we wsiach mieszkają chłopci i szlachta, a w miasteczkach Żydowie, a na świecie panuje ciągły ruch, więc jedni o drugich nieustannie ocierać się muszą, a na takim wzajemnem ocieraniu się polega cały mechanizm świata.

Jeżeli owca przechodzi przez gęste krzaki, na każdym pozostawia trochę wełny; dla owcy strata nieduża, a ptaki mają z tego poślanie do gniazd. Jeżeli chłop wiezie zboże w starym worku, to zboże sypie się po drodze; chłopu niewielka strata, a ptaki mają z tego pożywienie. Jeżeli wieś ociera się o miasteczko, zawsze coś przy miasteczku pozostaje; wsi niewielka strata, a miasteczko ma z tego życie.

Tak wygląda, tak myśli i takie ma zdanie Uszer Engelman, filozof z Czarnegobłota.

Świat o nim nie wie, ale on wie o świecie; świat o nim nie myśli, ale on przy myśleniu o świecie posiwał; świat go nie zna, ale on zbadał całą jego mechanikę.

---

## ROZDZIAŁ II.

### **Przebudzenie się lwa, krótkie objaśnienie geologiczne, oraz słówko o moralności czterdziestodwuprocentowej.**

Piszący te słowa mniema, że nie popełni czynu karygodnego, jeżeli zaraz z miejsca odwróci ten rozdział na drugą stronę i zanim zacznie mówić o lwie, skreśli mały traktacik geologiczny.



Wiele rzeczy na tym świecie zaczyna się od końca, a wiele też jest i takich, które mają dwa końce i tem samem zaczynają się niewiadomo skąd.

Nie gdzieindziej to przecie, ale w sławnem i bogobojnem mieście Czarnembłocie wiedli dwaj uczeni spór naukowy na temat: skąd się zaczyna ryba? od głowy, czy też od ogona?

Obadwaj mędracy przedstawiali argumenta i dowody równej siły, na skutek tego dysputa nie mogła być rozstrzygnięta inaczej, jak przez arbitra, któremu pod względem nauki i jedna i druga strona przyznawały wyższą kompetencyę.

Wezwany bacznie wysłuchał o co idzie i przez długą chwilę zastanawiał się głęboko, patrząc na przedmiot sporu, leżący na półmisku, następnie wziął z ryby co największe dzwonko, zjadł je, piwem popił i rzekł:

— Nie zaprzeczycie, dobrzy ludzie, że ta ryba, jeszcze przed kwadransem cała, jest już obecnie zaczęta; niechże teraz pouczą was własne wasze żrenice, skąd zaczęta została. Cokolwiekbyście zarzucić mojej metodzie, fakt przecież jest faktem i obecnie możecie już, bez żadnej pomocy, dojść, na czem się ryba skończy: na głowie, na ogonie, czy na drugim dzwonku?

Ten spór, o którym dużo swego czasu myślał i opowiadał Uszer Engelman, do dzisiejszego dnia jeszcze zajmuje umysły poważnych obywateli Czarnegoblota i dzieli ich na dwa stronictwa: partyę głowy i partyę ogona; orzeczenie bowiem arbitra zyskało tylko aprobatę ze strony prostaków i żarłoków, ale nie dostąpiło honoru uznania przez myślicieli prawdziwych i głębokich.

Również nierozstrzygnięta i do dziś dnia otwar-

tą pozostaje druga kwestya: skąd się zaczęło miasto Czarnebłoto.

Ani tradycya starożytnych rodów, ani pomniki piśmienictwa nie rzucają na to pytanie dostatecznego światła, a właściwie mówiąc, nie rzucają nic, ani jednego promyka.

Monumenta zasłużonych ludzi na kirkucie, zrobione z balików drewnianych, spróchniały lub też zgniły na szczer i nic się z nich dowiedzieć nie można; starożytnych budowli w Czarnembłocie niema, gdyż miasto co lat kilkanaście peryodycznie dotykane bywa klęską ognia.

Istniała przed laty stara bóżnica modrzewiowa, lecz i tej niema już dzisiaj, bo starszyzna miejska marzyła o murach i drewniana rudera, jak gdyby dogadzając tym marzeniom, nie robiła żadnej opozycji i dała się pożreć płomieniom.

Z powodu marnej świeczki łojowej, niezagaszanej w swoim czasie, powstał piękny gmach mурowany i malowany na żółto.

Uczeni zastanawiali się nad początkiem miasta, ale nie mogli wyjść z zaczarowanego koła domysłów i przypuszczeń, bo poważnych faktów i pozytywnych dowodów nie mieli, a to ich zastanawiało najbardziej, że domy, stawiane zaledwie przed kilkunastoma laty, zagłębiały się coraz bardziej w ziemię.

Niektóre schowały się w nią z podwalinami, inne małemi oknami dotykały prawie powierzchni gruntu, zaś starzy ludzie pamiętali, że za ich młodych lat wzgórze, na którem miasto się wznosi, było znacznie mniej wypukłe, niż obecnie.

Ten fakt dawał wiele do myślenia. Jeżeli wzgórze coraz bardziej wyniosłe się robi i, że się tak wyrazimy, rośnie w górę, i jeżeli ten postępowy wzrost nie ustanie, to oczywiście z czasem gród się wzniesie.

Owszem, niech się wznosi, ale w innem znaczeniu, w rozumieniu zaś zwykłym, niech nie rośnie zbyt szybko — bo i tak wjazd, zwłaszcza jesienią i na wiosnę, jest bardzo ciężki.

Żyje w pamięci obywateli przygoda Jankła Basa, kupca, który sprowadzał w październiku sześć kuf okowity do składu. Wozy ugrzęzły pod górą i nie było sposobu ich wyciągnąć, pomimo, że nie żałowano chłopom wódki, a wołom batów. Trzeba było przelewać kosztowny towar w inne, mniejsze beczki i czynić to na ulicy. Jankiel kilka garncy okowity przytem stracił, a dzierzawca z Ciepłej Woli, od którego ona pochodziła, był tak hardy, że nie chciał tej straty wynagrodzić.

Słusznie powiedziano, że bezczelność ludzka jest, jak ocean i wcale niema granic.

Najniespodziewaniej zdarzył się wypadek, który aczkolwiek daty początku miasteczka nie wskazał, pozwolił jednak wywnioskować, że jest ono bardzo starożytne i od dawnych czasów zamieszkane było przez Izraelitów.

Na przedstawienie pana burmistrza polecono wykopać w mieście nową studnię, iżby Czarnebłoto posiadało wodę na potrzebę obywateli, oraz na wypadek pożaru.

Sprowadzono ludzi biegłych i przystąpiono do roboty.

Takie wydarzenie ważne dla miasta nie trafia się codzień, a że mieszkańcy mieli, jak zresztą i dotychczas mają, dużo ciekawości, a jeszcze więcej wolnego czasu, przeto po całych dniach przypatrywali się czynności kopania i baczny wzrokiem badali pokłady gruntu, w głąb którego stopniowo coraz niżej dostawali się kopacze.

Nietylko kobiety i dzieci, ale poważni ludzie,

kupcy, kapitaliści i uczeni, patrzyli w ziemię pilnie, jak gdyby przeczuwając, że dzieje rodzinnego ich miasta wyjaśnione do pewnego stopnia zostaną.

Nad wielkim dołem godzinami całemi stali i patrzyli tacy notable, jak bogaty kupiec Jankiel Bas, wielki aferzysta Dawid Śliwka, uczony Uszer Engelman i wielu innych, co najwybitniejszych, mężów.

— Szczególna rzecz — rzekł Jankiel — jak ziemia, na której stoi nasze miasto, nie jest podobna do innych gatunków ziemi. Nie po raz pierwszy zdarza mi się być przy kopaniu studni, ale gdziekolwiek taką czynność widziałem, gatunek ziemi nie był taki, jak ten.

— Cóż osobliwego w nim widzicie? — zapytał Dawid Śliwka.

— Co?

— Tak, tak, co osobliwego? Ziemia jest ziemia.

— Przepraszam was. Handlując okowitą, zbożem, wełną, zwiedziłem świat na kilka mil dokoła, z czego zresztą próżnej chwały nie szukam — i miałem przytem sposobność oglądania różnych gatunków ziemi i rozmawiania z ludźmi, którzy się na niej znają. Otóż wiem dokładnie: bywa glina, bywa piasek, bywa czarna ziemia, tak, jak w Zatraceńcu na przykład pole czarne; ale to, co my widzimy, nie jest ani glina, ani piaskiem, ani czarną ziemią. Cóż więc jest?

Engelman głos zabrał.

— Ja wam powiem — rzekł — puściłem w ruch myśl moją i nie napróżno. To wcale nie jest ziemia.

— Więc cóż?

— Co jest? — dorzucił Dawid.

— To są najprawdziwsze śmiecie.

— Śmiecie?

— Przypatrzcie się tylko uważnie. W głębo-



kości dwóch łokci kopacze natrafili na szczątki starej miotły, która jeszcze nie zdążyła zgnić. Zdaje się, że nie potrzebuję dodawać, iż miotła jest dowodem obecności śmieci.

— Uszer słusznie mówi — rzekł Jankiel Bas.

— Uważajcie dalej. Tu widzę blaszane pudełko od sardynek.

— To jest głupstwo.

— Nie, to dowód. Dzieci bawią się takimi pudełkami.

— Więc co?

— Któż wie? Jeżeli weźmiemy na uwagę głębokość, w jakiej to pudełko znaleziono, to łatwo przyjść do wniosku, że mogło ono służyć do zabawy naszym ojcom, a może nawet naszym dziadkom.

— Oby dla zasług swoich używali szczęścia w raju!

— Oby używali!... Chciejcie mi wierzyć, panowie, że w tym wypadku śmiecie do pewnego stopnia znaczą tyle, co, nie przyrównywając, mądra książka.

— Nie plamcie ust waszych bluźnierstwem.

— A wy nie bądźcie popędliwi i zbyt pochopni w sądzie, bo wyrzeczecie głupie zdanie. Ja nie powiedziałem: nabożna książka, tylko—mądra książka; powtóre, dla bezpieczeństwa i od wszelkiego wypadku, dodałem: „nie przyrównywając“, a dlaczego ja tak powiedziałem, zaraz wytłumaczę.

— Bardzo jesteśmy ciekawi.

— Jeżeli przewracasz karty książki, to możesz w nich wyczytać, co było; jeżeli zaczniesz pilnie rozgrzebywać śmiecie, również dowiedzieć się możesz — skąd one się wzięły.

— Eh! eh!

— Za pozwoleniem, śmiecie też mają mowę: nie jest ona, jak mowa ludzka, nie jest, jako pismo, ale

jest mowa. Patrzcie uważnie, ile ta studnia ma już głębokości.

— Może sążeń...

— Może trochę więcej — dodał Dawid.

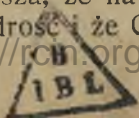
— A ile potrzeba pokoleń, żeby wytworzyć sążeń śmieci?

— Jeżeli duża familia — rzekł Dawid po długim namyśle — to, podług mego rozumienia, przez rok zrobi więcej, niż sążeń kubiczny śmieci... Mówię to z praktyki.

— Bardzo wam wierzę — odparł Engelman — ale tu idzie o pokład, o te stwardniałe śmiecie, w których można już kopać, jak w ziemi.

— Aj! — zawołał Dawid — ja już rozumiem! Nasz dom, ten dom, w którym ja mieszkam z moją familią, stawał dziadek, a ten dom dopiero na jaki łokieć wrósł w ziemię — to znaczy, że na sążeń potrzeba trzech dziadków!

— Jesteście blizcy prawdy i mówicie pięknie. Otóż, wielce szanowni, patrzcie i podziwiajcie. W tej chwili z głębokości sążniowej rydel robotnika wyrzucił wcale dobrze zachowane szczątki wielkiego pantofla. Nie zaprzeczycie zapewne, że jest to niezbity dowód, że przed trzema dziadkami nasze miasto była już izraelskie i nabożne, albowiem ludzie innej wiary chodzą bądź to boso, bądź też w butach, a jedyny, oprócz Żydów, człowiek w miasteczku, który używa pantofli, to jest aptekarz: nosi aksamitne i wyszywane jedwabiem. Takie nie wytrzymałyby w ziemi nawet pół roku. Ten pantofel, którego szczątki przed sobą widzimy, jest aktualnie żydowski i to żadnej wątpliwości nie ulega. Obecność zaś jego dowodzi, że ziemia, na której miasto się wznosi, od wieków jest nasza, że na niej kwitła nabożność, krzewiła się mądrość i że Czarnebloto od wie-



ków było Czarnemłotem, twierdzą mocną, panującą nad wszelkimi okolicznymi wioskami.

Jankiel, słuchając wywodów Engelmana, trącał nieznacznie Dawida w bok i mówił:

— Uważaj, uważaj!

Dawid cmokał ustami, był zachwycony domyślnością i bystrym umysłem filozofa.

Codziennie przychodzili ci trzej notable, aby patrzeć na postęp budowy studni i coraz bardziej i silniej utwierdzali się w przekonaniu, że Czarnemłoto jest niezmiernie starożytne, niezmiernie żydowskie, że tworzyło ono się tak, jak się tworzy góra potężna, że panowało nad okolicą niby wieża wysoka, albo twierdza mocna, że było punktem centralnym swego koła, węzłem licznych nici, splątanych doskonale, w których sieci misternej znajdowały się wszystkie wioski od Wierzbówki do Zatraceńca, od Olszanki do Kurzej Wólki.

Sześć sążni kopano, zanim natrafiono na źródło; chwilami była obawa, że cała praca pójdzie na marne i że upragniona przez mieszkańców woda nie tryśnie.

Na szczęście trysnęła i to tak obficie, że robotnicy ledwie po rusztowaniu i cembrowaniu uciec przed nią zdołali.

Woda zimna, czysta dobyła się ze znacznej głębokości i wyrzuciła na powierzchnię ziemi ogromnych rozmiarów pantofel.

To już był najwymowniejszy i najbardziej przekonujący dowód wielkiej starożytności miasta, dowód, który jego mieszkańców nappełnił słuszną dumą i podniósł ich o całe niebo wyżej w przekonaniu własnem.

Teraz możemy zobaczyć, jak wygląda śpiący lew.



Slicznie wygląda.

Lew, gdy śpi, ma pazury ukryte, paszczę zamkniętą, opiera głowę na łapie, a przyjemny wietrzyk chłodzi go i porusza lekko jego wspaniałą grzywę.

Piękny jest widok lwa uspięnego, leży on nieruchomo, siła jego spoczywa. Mysz może przebiegać koło niego bezkarnie, a marna mucha siada na jego kudłach tak bezpiecznie, jak gdyby to nie była lwia grzywa, lecz zwyczajna, sierścią pospolitych bydłał wypchana kanapa.

Miasteczko Czarnełoto w tem jest do lwa podobne, że usypia i budzi się, jak on.

— Jak lew pomiędzy zwierzętami, tak ty, o miasto moje, wśród wiosek — śpiewał swojego czasu poeta, a gdy gruby jakiś człowiek zarzucał, że w porównaniu jest zawiele honoru, Uszer Engelman stanął w obronie poety i przyznał, że w istocie zawiele jest honoru... dla lwa.

Jest dzień lipcowy, święto, godzina czwarta po południu, deszcz pada.

Na ulicach miasteczka cisza grobowa, na rynku ani żywego ducha, sklepy pozamykane, okna prawie wszystkie zasłonięte.

Wychudzona koza przechadza się po rynku, kot zgłodniały czatuje na wróble. I taka cisza, taki spokój bezwzględny trwa prawie do wieczora.

Deszcz ustał, wiatr chmury rozpędził, zachodzące słońce zalewa miasto światłem złocistem i oto tu i owdzie otwierają się drzwi domostw, ukazują się mężowie, niewiasty i dzieci, tu i owdzie otwiera się okienko i dolatuje z niego odgłos pieśni.

Ale jacy to mężowie, jakie niewiasty, jakie dzieci, jakie pieśni...

Język ludzki tego nie opowie, pióro nie opisze. Każdy prawie mąż w atlasowej kapocie, każda

prawie niewiasta w jedwabiach. Przechodzone to i łatanie miejscami racimory trochę już utraciły świeżość, ale racimory! A jakie czapki futrzane z tchórzów, z kun, z lisów, z soboli — a jakie kosztowności na niewiastach! Jakie perły, jakie złoto, jakie brylanty!

Coraz częściej drzwi skrzypią, coraz nowe, wspaniałe, jeszcze wspanialsze postaci wychodzą na ulice, na rynek i powoli, majestatycznym krokiem, spuszcza ją się ze wzgórzka, na którym stoi miasto, na równinę, nad rzeczkę, gdzie się zwykle co tydzień, letnią porą, taka parada odbywa.

Miał słusność poeta, mówiąc, że lew się pięknie budzi: ślicznie on wygląda, gdy otworzy jedno oko; piękniej, gdy oba.

A jak przytem mruczy rozkosznie!

Nie jest to groźny ryk, rozlegający się na puszczy, ale łagodne mruczenie, wyraz błogości po wypoczynku i po śnie pełnym widzeń przyjemnych.

Z otwartych okienek płyną pieśni rzewne, smutne, albo radosne, szemrzą niby toczące się po kamienistym łożysku strumienie, a spacerującym nad rzeką mężom słuszenie wydać się może, że te strumyki zlały się już w jedną rzekę dużą, której fale pluszczą zgodnie, wydając harmonijne szmery.

I cieszą się mężowie, głoszą brody, podchwytyją takt i, jak który może, tenorem, basem, falsetem, dorzucają swoje własne trojaki do tego wielkiego kapitału harmonii.

Niewiasty, słysząc to, przymrużają oczy z zachwytu, a ustami wyrabiają takie grymasy i cmoctania, jak gdyby jadły placki figowe z miodem, rajskie jabłka, lub gęsi smalec z chlebem.

Ale oto już słońce złotą głowę ku spoczynkowi skłania, już mu i poczerwieniało jasne oblicze, niby

porządnemu obywatelowi po spożyciu dobrej szabasowej kolacyi i wypiciu wielkiej butli koszernego wina. Wietrzyk letni, niby „mizures“ usługowy, nakrył je ogromną pierzyną z lekkiej chmury — i oto już drzemie ono, już to nie zupełnie w betach... już śpi...

Na wysokościach niebieskich zapalają się gwiazdki, na ziemi zaś świeczki łojowe i kopące lampki.

Ustają pieśni i marzenia, twarda rzeczywistość w prawa swoje wstępuje, wstępuje. Jankiel Bas, który jeszcze przed chwilą o cudnych krajobrazach dalekiego Wschodu marzył, osadził swego ducha na miejscu i duch ten, niby duch-orzeł na potężnych skrzydłach, bystrym lotem z nad Jordanu wpadł do olszanieckiej gorzelni.

Duch Dawida Śliwki, który dopiero co na wyżynach Libanu myszkował, w jednej sekundzie wpadł pomiędzy stada chłopskich gęsi na pastwisku w Zatraceńcu i już tam jest, już je ogląda, już ich wartość targową ocenia.

I inne duchy, niby duchy lwy, z po nad wód babilońskich, z pod Jeryha lub Damaszku, wpadły między Wole i Wólki... duchy odświeżone, wypoczęte, silne...

Racimory, atłasy, czapki futrzane, kleynoty powracają z nad rzeczki, pnąc się po pochyłości wzgórza, utworzonego z pokładów śmieci, zsypanych i ubitych przez wiele pokoleń, rozdzielają się na grupy drobne, coraz drobniejsze, od grup odpadają jednostki i wszystko chowa się w niskich drzwiach domów drewnianych.

Otwierają się szynkownie i sklepy; we wnętrzach ich, oświetlonych naftowymi lampkami, rysują się postaci kobiece i męskie, a we wszystkich głowach teraz mieszka, wszystkie serca napelnia, na wszystkich ustach teraz błądzi jeden tylko wyraz:

— Początek, dobry początek!

Wielki, piękny wyraz, z którego idzie wszystko dobre; dobry początek, to połowa interesu, to dobra nadzieja, otucha, zachęta, to pewność niemal, że wszystkie zamiary udadzą się jak najpomyślniej...

Okienka błyszczą światłem dogorywających łojówek, niby wielkie, szare koty ślepiami; ciemność zapada zupełna, noc obejmuje panowanie nad światem.

Tu i owdzie uczony jeszcze nad książką się kiwa; tam praktyczny i światowy człowiek rachunki przegląda lub się do drogi szykuje; kobiety z wielkim krzykiem dziatwę zapędzają do snu, gdyż rade jeszcze na progach do gawędy z sąsiadkami zasiąść — wypowiedzieć wszystko, co na sercu mają, użalić się na dolegliwości fizyczne i moralne, na drożyznę gęsiego szmalcu i kartofli, na skąpstwo mężów, na wszystko, co najgorsze w życiu.

Posiadały na progach, niby kwoki na grzędach, i gdaczą, radzą, przerywając sobie nawzajem to westchnieniem, to śmiechem, przekleństwem na wrogów, albo ostrym, gryzącym dowcipem.

Radzą długo, gdyż po święcie nikt wcześniej spać nie chodzi, a umysł, wywczasowany i wypoczęty w dzień, potrzebuje ruchu. Umysł, a cóż dopiero język niewiast czarnobłockich, który nienawidzi spoczynku i niby woda spływających z wysokiej góry potoków, musi być w ciągłym i nieustannym ruchu.

Skrzypią żałośnie drzwi stajen, stękają wychudzone szkapy i kręcą łbami, widząc, że im chomonta chcą na karki pakować.

We wszystkich kierunkach z pochyłości wzgórza, na wschód i na zachód, na południe i na północ, staczają się biedki dwukołowe, a ktoby się umiał wsłuchać dobrze w ciszę nocną, ktoby wszystkie jej



szmery ułoić potrafił — posłyszałby w różnych stronach, w wioskach, tonących w ciemności, zawzięte ujadanie kundli wiejskich.

Te psy ogłaszają ludziom, że się lew uspioy przebudził i że biegnie, szukając, kogoby pożarł.

Już północ — światelka gasną, sejmy kobiece na progach skończone, tylko w jednym domku i w jednym szynku świeci się jeszcze. Tam czuwają.

Czuwa też i Engelman, gdyż wyspał się doskonale w dzień i teraz, na przyzbie przed domem usiadłszy, fajkę pali, wodze myślom puszcza i kombinuje.

On wie co znaczą te dwa światła, dlaczego nie gasną one, chociaż jest noc, a tem samem niema prawdopodobieństwa, że nagle ktoś obudzi się ze snu i przyjdzie do szynkarza wódki kupić, lub do tamtego drugiego przyjemny dyskurs z nim prowadzić.

Engelman wie, że zarówno szynkarz, jak i ów drugi obywatel, nie są uczeni kabaliści, żeby mieli nocę na rozmyślaniu przepędzać i to wie także, że zarówno jeden, jak i drugi, nie należą do rzędu rozrzućników i nie wypalaliby nafty napróżno. Wie, że to światło się pali i palić się musi dla takich interesów, które słońca nie znoszą.

Nie jest to nadzwyczaj pięknie, nie jest bardzo pięknie, ale cóż robić?

Ten, który pali światło w nocy, potrzebuje żyć — i ten, co przy słońcu handlować nie lubi, także „potrzebuje żyć“ — a w tych dwóch wyrazach leży najgłówniejsza przyczyna wielu zjawisk życiowych, napozór dziwnych i niezrozumiałych, ale w gruncie rzeczy tak naturalnych, jak to, że słońce świeci w dzień, a gwiazdy w nocy.

Owóż, jeżeli w procesie myślenia nad tą miano-

wicie sprawą wyruszymy z tego punktu widzenia, to możemy w wywodach zajechać niezmiernie daleko.

Engelman tak też czyni; siedzi na progu izby i kombinuje:

— Czysta moralność jest to niby czysty spirytus, chociaż i to wątpliwe, bo czystego spirytusu nie ma, najwyżej jest 96°, 97° — ja też myślę, że i czysta moralność nie trzyma wyższej próby, a jeżeli trzyma, to chyba jakaś apteczna, nadzwyczajna i wogóle bardzo rzadko zjawiająca się w codziennym handlu.

I dalej:

— Ja myślę, że mądre zdanie, mówiące, iż człowiek „potrzebuje żyć“, jest to zwyczajna woda. Tania rzecz, ale niezbędna dla każdej istoty stworzonej, a zwłaszcza dla człowieka.

Opierając się na tych dwóch porównaniach, możemy oznaczyć dokładnie stopień moralności. Weźmy na przykład owego szynkarza, który, pomimo spóźnionej pory, pali lampę w swojej brudnej szynkowni.

Czy to jest człowiek moralny? Trochę jest, cokolwiek jest, a nawet dużo jest, jeżeli sądzić będziemy bezstronnie. On się modli, on obserwuje święta, on w życiu swoim nie jadł trefnego pokarmu, on zachowuje wszelkie prawa i przepisy, obowiązujące Żyda.

Względem swej żony i dzieci nie jest zły. Daje im pożywienie, odziewa je, posyła chłopców do szkółki, słowem czyni to, co każdy porządny i uczciwy ojciec. Jest to moralność, jeżeli nie tak bezwzględnie czysta i mocna, jak bezwodny spirytus. to przynajmniej, jak dobra okowita na 78°.

Weźmy teraz tego samego szynkarza z drugiej strony.

Czy on jest niemoralny? Cokolwiek jest. On przez całą noc pali lampę, do niego przychodzą ludzie nie lubiący słońca, przynoszą mu różne rzeczy i sprzedają tanio — to wszystko prawda. I to prawda, chociaż mówić o tem głośno nie wypada, że te rzeczy są kradzione, ale... „każdy człowiek potrzebuje żyć“.

Jeżeli wodę tej maksymy zmieszamy z okowitą moralności, jeżeli wstrząśniemy je dobrze w naczyniu naszego myślenia, a potem zbadamy zapomocą próby, to się pokaże jasno, że moralność owego szynkarza pod względem mocy równa się zwyczajnej, średniej wódce. Czterdzieści, może czterdzieści dwa stopnie.

Czy taka moralność nie ma już żadnej wartości?

Stanowczo ma i jeżeliby ją można sprzedawać na garnce, to ludzie płaciliby za nią tyle w stosunku do czystej moralności, ile się płaci za wódkę 42° w stosunku do czystego spirytusu.

Engelman rozmyśla dalej i przychodzi do wniosku, że człowiek, w którym jest chociażby bardzo maleńka odrobina dobrego, nie może być nazwany bezwarunkowo złym.

Oto teraz naprzykład, wśród ciszy nocnej, sły-chać ciężkie kroki. Ktoś idzie.

Niech sobie idzie!

Sylwetka jego zarysowała się w świetle lampki, płonącej w szynku na oknie i widać, że jest to barczysty człowiek, dźwigający worek na ramionach. Worek ciężki, zapewne ze zbożem, bo chłop ugina się pod jego brzemieniem.

Wszedł do szynku i światelko natychmiast za-



gasło, a właściwie nie zagasło, lecz przeniesione zostało przez gospodarza do drugiej izby, której okna na podwórko wychodzą.

Co się tam robi? Cóż nam do tego? Niech się robi co chce: ludzie potrzebują żyć.

Świt zastał jeszcze filozofa na ławce przed domem, zastał go pogrążonego w dumaniach o moralności i o misternem urządzeniu świata, w którym się wszystko wiąże, płacze, kombinuje i wikła.

---

### ROZDZIAŁ III,

**opisujący oberżę pod „Zielonym łabędziem“, panią Małkę Fisch, tudzież pewien rodzaj flirtu handlowego.**

Są pewne nieprawdy, uznane powszechnie za prawdy niewzruszone i nie ulegające zaprzeczeniu. Oberża w Czarnobłocie pod „Zielonym łabędziem“ była właśnie taką nieprawdą.

Dzierżawcy, drobna szlachta, koloniści, włościanie z całej okolicy znali doskonale ten dom, w którym przy każdej bytności sporo zostawiali pieniędzy, ale „Zielonego łabędzia“ nikt, jako żywo, na oczy swoje nie widział.

Nie widzieli go też ani Żydzi czarnobłoccy, ani sama właścicielka, ani jej mąż i nie przychodziło im nigdy na myśl zapytać, skąd się wzięła ta nazwa? Który z przodków taki herb osobliwy dla domu wymyślił?

Co prawda, niewiele im zależało na posiadaniu owej wiadomości. Biały łabędź, czerwony, czy pstry, wszystko to jedno w gruncie rzeczy — byle handel szedł — a handel szedł doskonale!

Jeżeli Czarnebloto było centralnym punktem interesów okolicy, to oberża pod „Zielonym łabędziem“ była centralnym punktem Czarneoblota, była ona sercem tego wielkiego organizmu handlowego. W dniu targowe, jarmarczne, świąteczne, bywał tu zjazd duży.

W paradnej stancyi gromadziło się wyższe towarzystwo: dzierżawcy, rządcy folwarków, w średniej drobna szlachta i ekonomowie, a w wielkiej izbie narożnej, która się niczem od zwyczajnej nie różniła szynkowni, pospolity naród — chłopi.

Oberża podobna była do wielkiego pociągu pasażerskiego, podzielonego na klasy.

Pierwsza urządzona z przepychem, umeblowana była starami, ale wyścielanymi gratami; na środku stał stół jesionowy z klapami, politurowany onego czasu, a przy ścianach kilka stolików, bejcowanych na czerwono.

Nad kanapą wisiało lustro, tak popstrzone przez muchy i taką grubą warstwą kurzu pokryte, że już czynności swych na żaden sposób spełniać nie mogło. Były też obrazy poczerniałe, popękane, może niegdyś ładne, może po jakim amatorze zbieraczu pozostałe, lecz zniszczone zupełnie, tak, że mogły uchodzić za arcydzieła bardzo starożytne, pokryte pleśnią wieków.

W tym salonie przyjmowała gości sama pani Małka i tu obrabiano najgrubsze interesa.

W drugiej klasie były krzeselka wyplatane i stoliki pokryte czerwonymi serwetami. W trzeciej tylko proste ławy przy ścianach i dwa zwyczajne stoły sosnowe na koziołkach.

Ma się rozumieć, że i towar i trunki także się na klasy dzieliły.

W pierwszej nieraz zjawiało się na stole wino

i porter, marynata ze szczupaka, sardynki i inne delikatesy; w drugiej arak, piwo bawarskie, marynowane śledzie; w trzeciej siwucha zwyczajna, pieprzem, wapnem i tytuniem zaprawna, żeby chłop czuł przynajmniej, że coś wypił i żeby miał po czern spluwać.

Pani Małka miała oko na wszystko i na wszystkich, a prowadziła interesa doskonale. U niej w oberży i w sklepie wytworzył się punkt centralny wszystkich interesów okolicy, a wpływ miała tak znaczny, że nawet Jankiel Bas i Dawid Śliwka musieli się z nią liczyć.

Sam pan Fisch, zacny Mojsie Fisch, znaczył tyle, co przeszłoroczny mróz względem tegorocznej wody, czyli, krócej mówiąc, nie znaczył nic i całem jego zadaniem było słuchać żony i robić, co ona każe.

Tak to się zaraz od pierwszych dni pożycia małżeńskiego ułożyło. Pani Małka pochodziła ze znacznej familii, z dalekiego miasta, odległego dzieśnięć mil od Czarnegołota.

Wyszła za mąż za Mojsia, bo tak rodzice kazali, bo Mojsie miał sławę uczonego i nabożnego kawalera, pochodził także z arystokracji, a majątek, jaki do wspólki małżeńskiej wkładał, wynosił około sześciuset rubli.

Pod względem powierzchowności, para ta przedstawiała rażący kontrast. On był niepozorny, chudy, zgarbiony, oblicze podobne miał do karty staro-pargaminu, bródkę do kępki trawy, zrudziałej na slotach jesiennych. Małka natomiast była kobieta, co się zowie piękna, a jeżeli dzierzawca z Zatracańca wspominał nieraz o róży z Saronu, to dlatego, że sądził, iż Małka jest właśnie do takiej róży podobna.

Wiedziała o tem piękna kupcowa doskonale i wiedziała także, iż uroda w takim interesie, jak oberża, gdzie dużo panów bywa, nic a nic nie przeszkadza, ale owszem, w pewnych razach pomaga.

Ubierała się też elegancko, nie dotykała takich towarów, które mogłyby poplamieć jej ręce i umiała w razie potrzeby „robić oko“ i być bardzo uprzejmą dla gości. Był to flirt niewinny, czysto handlowej natury i pan Mojsie Fisch, chociaż był z natury wielki zazdrośnik, uznawał jednak praktyczność tego flirtu.

Wiedział doskonale z książek i z tradycyi, że bywały liczne dowody, co może zrobić ładna kobieta, choćby tylko przypomnieć dwie Esterki i Judytę. Historya uczy, że obie te panienki i trzecia wdówka miały oczy bardzo piękne, a władały niemi nader zręcznie; spojrzenia ich miały blask piorunu i zarazem słodycz miodu.

Skoro pani Małka posiadała także piękne oczy i także dzielnie władać niemi potrafiła, to pytanie, dlaczego nie miała robić z nich użytku?

Nie leżało w jej intencjach ucinanie głowy Holofernesowi, przedewszystkiem dla braku Holofernesa, a powtóre, z przyczyny, że taki interes grozi kryminalnym procesem — ale zawracać głowę choćby młodemu dzierżawcy z Zatraceńca umiała doskonale.

To nie jest bez znaczenia. Wie Jankiel Bas, że można od tego dzierżawcy taniej kupić zboże pod „Zielonem łabędziem“ w obecności Małki, niż pertraktując interes na cztery oczy w Zatraceńcu.

Jankiel Bas ma to do siebie, że jest człowiek sprawiedliwy — a nie jest głupi — rozumie dobrze, że ręka rękę myje, to też od wszelkich tranzakcyj,



zawartych w oberży, daje pięknej gospodyni porę-kawiczne.

Jeżeli kto widzi w tem co złego, niech mu oko wypłyne, żeby nie widział za dużo.

Niekiedy jednak Mojsie Fisch nie mógł się oprzeć brzydkiemu uczuciu zazdrości. Raz naprzy-kład zdawało mu się, że dzierżawca z Zatraceńca zbyt pilnie i cokolwiek zadługo podziwia nową bran-soletę na rękę Małki.

Uczuł Mojsie, że krew w nim się burzy, ale na-razie poznać tego po sobie nie dał; dopiero wieczō-rem, kiedy już w sklepie i w zajeździe ucichło, kie-dy goście porozjeżdżali się, ośmielił się powiedzieć do żony:

— Słuchaj-no, Małka, mnie przykro wymówić to słowo, ale...

— Cóż?

— Są interesa, których ja nie rozumiem.

— Wielka nowość! — odrzekła żona — na dziesięć interesów z pewnością jest dziewięć takich, których twój umysł objąć nie zdoła.

— Czy masz mnie za głupca?

— Przeciwnie, uważam cię za bardzo mądre-go człowieka, ale rozum twój zdatny jest do szkoły żydowskiej, nie zaś do interesów i nie do handlu. Ty się wcale nie znasz na tem.

— Przepraszam cię bardzo.

— Niema za co, każdemu zdarzy się powie-dzieć głupstwo, a uczonemu człowiekowi najczęściej.

— Ależ ja bynajmniej...

— Wszystko jedno, ja i tak i tak niebardzo zważam na twoje gadanie.

— Małciu!

— No, czego jeszcze chcesz? Daj mi już po-

kój. Ja jestem zmęczona, cały dzień był ogromny ruch, chciałabym teraz iść spać i odpocząć.

— Ja tylko...

— No, co? co? Kończ już raz to twoje gadanie, nie cykaj po półkwatku, wylej odrazu cały gąsior...

— Pozwól mi przyjść do słowa...

— Bronię ci? Przychodź...

— Widzisz... ja sobie miarkuję, że ty zabardzo się śmiejesz do tego młodego goja, dzierżawcy z Zatracańca.

— Coś ty powiedział?

— Że zanadto się śmiejesz, zawiele z nim rozmawiasz, załadnie patrzysz na niego.

— No, no, a co więcej? Mów odrazu, wyrzuć z siebie wszystką złość, która w tobie kipi! Mów, co więcej?

— Cóż ma być jeszcze więcej? Czyż to mało?

— Ma się rozumieć, że bardzo mało.

— Co ty mówisz? Więc to mało, że ty, stateczna kobieta, zamężna, prowadzisz wesołe rozmowy z takim gojem? Więc to mało, że się do niego śmiejesz, że na niego patrzysz?

— I to ci się nie podoba?

— Nie.

— To bardzo dobrze.

— Ja jestem twój mąż, ty powinnaś mnie słuchać!

— Owszem, owszem, już słucham. Obaczysz, co tu będzie za tydzień?

— Będzie jarmark.

— Jak dla kogo.

— Dla całego miasta.

— Dla nas nie; ponieważ nie podoba ci się, że ja się śmieję, rozmawiam i patrzę na ludzi, więc bę-

dę cały dzień płakała, schowam się na strych, albo do piwnicy i nie powiem do nikogo ani jednego słowa. Zobaczymy wtedy, jaki będziesz miał jarmark i co utargujesz.

— Przecież ja nie chcę, żebyś się miała chować przed ludźmi; wszak mamy sklep i zajazd.

— Ja już sama teraz nie wiem, czego ty chcesz i najlepiej zrobisz, jeżeli nie będziesz się wtrącał w nieswoje rzeczy.

— Ja przecież jestem mąż.

— Ja wiem, co ty jesteś, ale co ja jestem, ty nie rozumiesz. Najlepiej zrobisz, jeżeli pójdiesz spać i przestaniesz mącić mi w głowie.

Z temi słowy energiczna pani Małka wypchnęła Mojsia za drzwi — i na tem się rozmowa skończyła.

Mojsie Fisch, aczkolwiek wypchnięty za drzwi, nie obraził się i miał słuszość. Wielka rzecz być wypchniętym za drzwi przez kobietę, i do tego przez własną żonę! Taka awantura porządnego człowieka ani ziębi, ani grzeje.

Wyrzuciła — niech się cieszy z tryumfu.

Mojsie posłał sobie, z powodu gorąca, pierzynę na ulicy przed domem, na tak zwanem podsieniu, jak to czynią podczas lata wogóle wszyscy obywatele starozakonni w Czarnembłocie.

Nocleg taki jest bardzo przyjemny; człowiek, położywszy się, zanim uśnie, widzi nad sobą księżyc, gwiazdy i cały firmament niebieski, czuje, że łagodny wietrzyk chłodzi mu oblicze, słyszy rechotanie żab i turkot młyna, nie próżnującego nigdy.

Nieraz usiłował przekonać obywatele burmistrz, że sypianie pod gołym niebem nie jest zgodne z przyzwoitością publiczną; doktor, bardzo doświadczony człowiek i niezmiernie biegły w swoim fachu, ostrze-



gał, że to się sprzeciwia higienie: że przy takim interesie można się zaziębić, dostać trochę kataru, odrobinę febry, cokolwiek małaryi, albo jeszcze czego w lepszym gatunku.

Ale obywatele nie słuchali tych głosów. Ich dziadkowie sypiali w lecie w ten sam sposób, dlaczego nie mają podobnie czynić wnuki?

Co nieprzyzwoitego w tem, że ktoś na ulicy śpi? Niech się ten wstydzi, co wcale w nocy nie śpi, upija się, hula; ale stateczny obywatel może spać, choćby na środku rynku. Nie ma nic do ukrywania podczas snu; prędzej w dzień, kiedy geszefta załatwia, kiedy szachruje i kręci, zakryłby się przed ludzkimi oczami, aby go nie podpatrzano.

Mojsie Fisch położył się na wielkiej pierzynie czerwonej, ale nie mógł usnąć. Trapił go niepokój i pewne wątpliwości: postępowanie żony wydało mu się dziwnem. Niby nie popełnia ona i nie popełniła dotychczas nic karygodnego, ale niekiedy ma taką minę, jak gdyby chciała zrobić głupstwo.

Zachodzi pytanie, czy jest to prawdziwy zamiar, czy tylko pozór zamiaru?

Jeżeli tylko pozór, w takim razie dlaczego na pytanie męża nie odpowiada szczerze, że jest to pozór, figielek handlowy, po za którym kryją się dalsze praktyczne, a głęboko obmyślane plany?

Mąż powinien być wtajemniczony w takie interesa, jako mąż i jako współnik całego majątku. Być może, że to pozór, ale być również może, iż zamiar — w takim razie zachodzi pytanie: dlaczego Małka nie mieni się, kiedy mąż na nią patrzy?

Wogóle jest to kobieta bardzo dziwna. Wobec męża i wobec ludzi prostych, a biednych, jest ona taka wielka, taka wspaniała, taka pyszna, jak królowa Saba, która swego czasu jeździła do króla Salomo-

na; dla marnego dzierżawcy, który przychodzi do oberży, jest nadzwyczajnie uprzejma i grzeczna.

Jeżeli w jej myśli jest zamiar, to na twarzy powinien być kolor — ale ona jest dziwna. Gdy się rozgniewa, wówczas robi się czerwona, jak śmierć; zdaje się, że jej twarz to kryształowa karafka, nalana krwią, w której pływa para okropnie błyszczących oczu.

Mojsie Fisch oglądał niekiedy takie widowisko, a gdyby go kto wówczas zapytał, gdzie jest jego dusza, to nie potrafiłby na to odpowiedzieć.

Zazwyczaj, kiedy się nie gniewa, ona jest blada, a czasem, gdy się zamyśli, gdy tworzy kombinacje i plany, siedząc nieruchomo przy stole, to wydaje się niby figura z kamienia.

Dzierżawca z Zatraceńca dostrzegł to i nieraz przy sposobności powtarza:

— Pani Małka jest kobieta z marmuru.

Mojsie nie lubi słuchać komplementów, do jego żony stosowanych, ale przyznaje w duchu, że w tem jest trochę prawdy.

Nie mogąc spać, zapatrzony w złote gwiazdy, jaśniejące na szafirowym tle nieba, Mojsie rozmyśla. Zastanawia się nad swem małżeństwem i przychodzi do wniosku, że ma ono swoje dobre i złe strony. Dobre, ponieważ żona interesu prowadzi doskonale; złe gdyż jest bardzo pyszna względem niego, a zanadto uprzejma dla puryców różnych, którzy w sklepie bywają.

I czego oni właściwie chcą?

Zdawałoby się, że jeżeli kto potrzebuje cukru, śledzi, herbaty, świec lub innego towaru, to powinien przyjść do sklepu, powiedzieć, czego żąda, zapłacić, zabrać sprawunek i iść do domu. Tymczasem on siedzi, a po co on siedzi? Żeby rozmawiać z Małką.

A o czem z nią rozmawia? Oczywiście nie o przedmiotach poważnych, lecz o głupstwach, o których porządny człowiek nie powinien nawet myśleć.

On naprzykład rozmawia o tem, że pani Małka jest śliczna kobieta, że jej bardzo do twarzy w żółtym kolorze...

Oby sam żóltaczki dostał, bezwstydnik!

Powiada, że piękna dama z takimi oczami nie powinna siedzieć w Czarnembłocie! Ciekawa rzecz, gdzie ona ma siedzieć i co komu do tego, w jakim miejscu ona siedzi!

A Małka słucha tych głupstw z wielką uwagą i śmieje się. Dlaczego ona się śmieje?

Czy jej to przyjemność robi, że kto plecie głupstwa? czy jest tak ograniczona, że lubuje się w tem co nie ma żadnego sensu? Zdaje się przecież, że kobieta niegłupia...

Bardzo ciężko wzdychał Mojsie i spać nie mógł, przewracał się na swojej pościeli, w gwiazdy się wpatrywał badawczo, jak gdyby w nich spodziewał się odpowiedzi na męczące pytanie — dlaczego Małka się śmieje?

Nic innego, tylko w tem musi być ręka złych duchów, czyhających nieustannie na to, aby płatać figle ludziom.

Kiedy pomyślał o duchach, z oddalenia, z wieży kościoła, dał się słyszeć przykry głos puszczyka, a współcześnie chmurka przysłoniła księżyc tak, że ściemniło się nagle.

Mojsie tedy przykrył głowę pod wpływem mimowolnego strachu i niebawem zasnął. Sen jednak nie przyniósł mu ukojenia i to, o czem myślał na jawie, majaczyło się jeszcze w widziadłach.

Widział sklep swój, zajazd i trzy stancye gościnne, a w najparadniejszej z nich dzierżawcę z Za-

tracénca i Małkę, bardzo ładną, bardzo wystrojoną i bardzo śmiejącą się.

Całą pociechą w tych snach przykrych było, że widział przy sobie małego Abramka, swego syna pierworodnego i jedyne go, źrenicę swego oka, swoją nadzieję i dumę.

Oprócz Abramka, więcej dzieci nie było, ale Mojsie nie tracił jeszcze nadziei, że dzięki zasługom jego przodków i dzięki dobrym radom pewnego bogobojnego i sprawiedliwego mędrca, wszystko się zmieni na lepsze.

Tymczasem cieszył się jedynakiem i z dumą patrzył na niego.

Dziecko miało pięć lat, a było już niezmiernie poważne i myślące. Już chodziło do chederu i dawało nadzieję, że będzie biegle w myśleniu i rachunkach.

Oboje rodzice nie żalowali pieniędzy na to, żeby jedynaczek wyglądał elegancko i wyróżniał się od swoich rówieśników. Pani Małka, nie żałując fadygi, własnoręcznie zdjęła wierzch ze starej atlasowej salopy i kazała uszyć z niego dla Abramka bardzo piękną kapotę.

W tym stroju, przepasany pasem wełnianym, w wielkiej aksamitnej czapce (którą swego czasu nosił jeszcze dziadek Mojsia), w niebieskich pończochach i w pantoflach, pięcioletni dzieciak wyglądał tak pięknie i poważnie, jak gdyby był conajmniej wielkim kupcem od zboża i członkiem kahału.

Widząc go, ludzie stawali na ulicy i zazdrościli rodzicom pociechy.

Noc letnia krótka jest, a panowanie ciemności podczas niej nie może się bynajmniej nazywać wielkim panowaniem.

Zaledwie słońce dobrze zajdzie, ledwie ludzie



się do snu ułożą, już w zabudowaniach mieszczan, na strychach domów kupieckich w środku miasta, zaczynają drzeć się koguty, ogłaszając północ.

Grube, cienkie, chrapliwe, najrozmaitsze głosy tych ptaków łączą się w jeden chór; psy, przebudzone, odzywają się szczekaniem i znowu cisza — ale na krótko, bo oto ciemności się przerzedzają, na niebie od wschodu blade, bardzo blade światło się zjawia; właściwie nawet nie światło, tylko coś pośredniego pomiędzy zupełną ciemnością a brzaskiem. Jeszcze chwila, a bladeść ta wyraźniejszą się robi, nabiera tonu żółtawego.

Jak kot z pieca, Czarnebloto powoli i leniwie wysuwa się z ciemności.

Już można rozróżnić kilka drzew wysokich, synagogę, domy z okienicami, pozamykanemi szczelnie.

Jeszcze moment. Złoto wschodu rozpala się, staje się różowem, wróble z głośnem ćwierkotaniem spadają na ziemię, bo już widać doskonale śmiecie i różne szczątki pożywienia, walające się koło domów, cały ów materiał, z którego w przyszłości utworzy się nowy pokład gruntu dla przyszłych pokoleń.

Wrony, kracząc, przeciągają nad miastem, jaśkółki zwrotnym lotem migają w powietrzu, chuda koza wychodzi na rynek i pożywienia szuka, psy i inne, jeszcze bardziej niż psy, nieczyste zwierzęta wychodzą podwórka lustrować.

Z oddalonych uliczek, gdzie mieszczenie-rolnicy mają swoje siedziby, dolatuje piszczenie otwieranych wierzei od stodół, skrzyp żórawi studziennych i ryczenie bydła.

Słońce się ukazuje i rzuca blaski, wielkie letnie blaski; z domku przy bóżnicy wychodzi zaspany sta-



ruszek, z długą brodą, w obdartej, połatanej kapocie, z kijem zakrzywionym w ręku.

Idzie on od domu do domu i kijem tym trzykrotnie w okienice uderza, wzywając tym sposobem nabożnych obywateli, aby wstali ze snu i, zanim zacząną szachrować i gonić wiatr w polu, przedewszystkiem poszli oddać cześć Bogu.

To jest urzędowe niejako rozpoczęcie się dnia w Czarnembłocie.

---

#### ROZDZIAŁ IV,

**opisujący jarmark w Czarnembłocie. Tu także poznajemy imćpana Walentego Wasażka.**

Słusznie powiada piękna pani Małka, że człowiek żyje od godziny do godziny, od jarmarku do jarmarku. Zdanie to podzielają w Czarnembłocie wszyscy obywatele bez wyjątku; pisze się na nie dorosły, czy nieletni, bogaty kupiec zbożowy i najbiedniejszy kapcan i łapserdak, dla każdego bowiem dzień jarmarczny jest dniem radości i wesela.

Zawczasu też mieszkańcy Czarnegoblota czynią przygotowania, aby wystąpić godnie w chwili tak ważnej i tak doniosłe znaczenie mającej.

Kupcy sprowadzają świeży towar do sklepów, szynkarze trunki, przekupnie szykują pieniądze, faktorzy języki, biedne Żydówki starają się zawczasu o zapas niedojrzałych owoców, pieką pierniki, makagigi, obwarzanki, całe miasto jest w ruchu gorączkowym.

Pani Małka stara się, aby pod „Zielonym łabędziem“ było szykownie i elegancko, kazała więc

swoim służebnicom trochę uprzątnąć izbę paradną, w oknach zawiesić nowe firanki z zielonej glasy, bo wiadomo, że teraz ludzie wogóle komfort lubią i że elegancya w urządzeniu zakładu ściąga publiczność.

Na kilka dni przed jarmarkiem piękna pani Małka zawołała swego małżonka i rzekła do niego lakonicznie:

— Mojsie, dziś na noc pojedziesz w drogę.

— Owszem — odrzekł. — Dokąd mam pojechać?

— Dokąd? Alboż nie wiesz, że niedługo jarmark? Ty masz taką szczególną głowę, że nigdy o niczem nie pamiętasz.

— No, nie masz się o co gniewać. Małe dziecko wie, że nim nadejdzie jarmark, bywa czas przedjarmarczny i że każdy myśli o zakupie towarów, ale swoją drogą mógł się trafić interes całkiem inny. Ja myślałem nawet zrobić z Janklem małą spółkę na kupno owsa.

— Ty nie zrobisz tej spółki...

— Dlaczego?

— Bo ja już zrobiłam bez ciebie. Powiem ci więcej. Ja już nawet sprzedałam mój udział Dawidowi.

— Dawidowi?

— Czemu robisz takie wielkie oczy? Czy mi niewolno odstąpić mego udziału Ickowi, Dawidowi, lub komu mi się podoba?

— Owszem, wolno, tylko ja się dziwię, że ty tak prędko to zrobiłaś.

— Masz rację, dziw się.

— Dziwię się doprawdy i jeszcze to mi się wydaje osobliwem, że ty mi wchodzisz w drogę.

— Nierozumne jest twoje słowo, Mojsie. Naprzód, ja ci zupełnie w drogę nie wchodzę, bo czybyś

ty sfuszerował interes, czy ja samabym go porządnie zrobiła — pieniądze zawsze przyjdą do nas. Ja ich nie stracę, owszem, ja dorobię dwa, trzy razy tyle, ja nagromadzę, zbiorę, a dla kogo zbiorę? Dla Abramka. Ja nie wiem, czy ty masz prawo na to narzekać?

— To prawda, ale i jabym chciał czasem zrobić jaki geszefcik, chociażby tylko dla przyjemności.

— Ja ci nie bronię, rób, owszem. I współkę z Janklem mogłeś zrobić, ale masz ciężką głowę. Zanim się zdecydowałeś, namyśliłeś, zanim swoim zwyczajem podrapałeś się w brodę, zanim poradziłeś się bardzo mądrych twoich przyjaciół, ja już cię uprzedziłam. To też ja mam uczciwego zysku trzydzieści dwa ruble, a ty... namyślałeś się. Ja się cieszę moim, ty się ciesz twoim i nie mamy się o co kłócić. Tymczasem idź do Berka, zamów u niego miejsce na furze do kolei. Jutro rano powinienes być w Warszawie.

— Co nie mam być? Owszem, będę.

— Dostaniesz pieniądze i spis towarów, które trzeba kupić do sklepu. Wszak wiesz, gdzie się jaki towar kupuje?

— Oj, oj, albo mnie to pierwszy raz?

— Mogłeś zapomnieć, tyle mądrych rzeczy masz na pamięci! — dodała ironicznie.

— Ty nie znasz mnie jeszcze, Małciu. Gdy siedzę spokojnie w domu, rzeczywiście jestem cokolwiek powolny, a nawet mogę się wydać człowiekiem ociężałym, do interesów zupełnie niezdatnym; ale proszę mnie zobaczyć w podróży, proszę zobaczyć. Jestem zupełnie inny człowiek.

— A cóż ty robisz w drodze? — zapytała męża?

— Co ja robię w drodze? Dobre pytanie! Co

ja robię? Nie każdy to może zrozumieć. Ja siedzę na furze, albo w wagonie i palę fajkę.

— To zupełnie tak samo, jak w domu.

— Nie pozwoliłaś mi dokończyć tego, com chciał powiedzieć. W domu ja palę fajkę i rozmyślam, w drodze zaś palę i rozmawiam. O jakich interesach można w drodze usłyszeć, jakich ludzi spotkać! Słuchając różnych opowiadań o wielkich geszeftach, ja czuję, że się we mnie budzi lew; że mógłbym być wielkim kupcem i ryzykantem nadzwyczajnym. Daj-no mi tylko trochę kapitału i puść mnie w drogę, to dopiero zobaczysz, jaki ja potrafię zrobić figiel i jakie piękne zyski do domu przywiozę!

Mówiąc to, Mojsie bardzo się zapalił, oczy mu błyszczały, jak u kota, twarz pokryła się rumieńcem.

Pani Małka na te zapaly była, jak zawsze, bardzo obojętna.

— Ja ci wierzę — rzekła — ale jednak proszę cię, niech ten wielki lew, który się ma w tobie przebudzić, jeszcze trochę śpi; przynajmniej do czasu, dopóki nie powrócisz z Warszawy i nie przywieziesz towaru. Wiadomo ci, że nam dużo różnych rzeczy w sklepie brakuje, a przed jarmarkiem trzeba we wszystko się zaopatrzyć, więc ty swojego lwa nie budź, aż po jarmarku. Tymczasem jedź, towary kupisz według spisu, który ja ci dam, dopilnujesz, żeby dobrze opakowali i przywieziesz na stacyę. Będzie oczekiwał na ciebie Berek z furą.

— Bardzo dobrze.

— Sądzę, że dwa dni czasu wystarczy ci na załatwienie sprawunków.

— Dwa?

— Mało ci dwa dni?

— Owszem, za dużo! Ty mnie znasz: ja w domu jestem sobie powolny i spokojny, ale zobacz-no



mnie gdzieindziej! Ryba tak się nie rusza w wodzie, jak ja w Warszawie! Za pół godziny wszystkie sprawunki będą załatwione! Jak ja jestem w dużym mieście, między ludźmi, w wielkim ruchu, to mam zupełnie inny werk w głowie i gang w nogach. Chodzę wtenczas, jak parowa maszyna, a taki jestem zapalony, żebym nie jadł, nie spał, tylko ciągle wielkie geszefta robił! Zazdrość mnie przejmuje, gdy widzę tylu Żydków, jak biegają, krzyczą, ładują towar na fury. Nabieram wielkiego smaku do interesów handlowych, zapal mnie ogarnia...

— To dobrze, że jesteś taki zapalony i że czujesz w sobie inny gang, ale swoją drogą nie spiesz się. Masz dwa dni czasu, nie daj się oszukać, dopilnuj, żeby ci dobrze odmierzyli i odważyli, żebyś nie zapłacił więcej, niż potrzeba.

— Ja?

— Przecież nie ja, bo mnie tam nie będzie.

— Masz rację, ale dwa dni to za dużo; po co aż dwa dni?

— Już tak być musi i Berek nie przyjedzie prędzej na kolej.

Mojsie Fisch, czując przedsmak Warszawy, wielkiego ruchu i wielkich interesów, zapalił się odrazu i nie poszedł, ale pobiegł bardzo szybko do Berka, aby zamówić sobie miejsce na wielkiej furze, która dwa razy tygodniowo toczyła się regularnie od Czarnegołota do stacyi kolei żelaznej, odległej o pięć mil drogi.

Berek był tego dnia bardzo hardy, a wiedząc, że przed jarmarkiem wszyscy kupcy muszą zaopatrzyć swe sklepy, podniósł o pięćdziesiąt procent swoją taryfę pasażerską i towarową; gdy zaś kto protestował, on lżył go bez pomiarkowania słowem nieprzystojnem i grubem, przeklinał brzydkiem prze-



kleństwem, zwyczajnie, jak furman, z samego fachu swojego człowiek ordynaryjny, który, mając do czynienia prawie ciągle z końmi, nie może nabrać oglądy towarzyskiej i dystynkcyi.

Mojsie także nie chciał się zgodzić na wygórowaną cenę, ale Berek ani grosza nie odstąpił — i jedynie ze względu na wysoką pozycję Mojsia, jako męża pani Małki, nie zelżył go sromotnie. Wogóle dość delikatnie się z nim obszedł, życząc mu tylko, aby przy pierwszej okazji nogę złamał.

Gdy noc nadeszła, Mojsie siedział już na furze w towarzystwie bardzo licznem i dobranem, palił fajkę i brał udział w rozmowie o nadzwyczajnych interesach, jakie się w przeszłości i czasach mniej odległych przytrafiały.

Stosownie do zlecenia żony, Iwa w sobie nie budził i pozwolił mu spać spokojnie, dopóki nie nadejdzie chwila stosowna.

Sliczna bardzo i przyjemna dziwnie jest taka podróż na wielkiej furze, zwłaszcza podczas nocy pogodnej. Ośmnastu mężów siedzi na bryce, na przodku mieści się Berek i kieruje trzema chudemi szkapami, a patrzy, czy na drodze jeszcze mu się jaki pasażer nie trafi. Zazwyczaj trafia się i siada, jest mu trochę ciasno, ale przyjemnie. Rozmowa idzie ogólna — czego się tam nie można dowiedzieć! czego nie usłyszeć?

Prawie każdy podróżny pali fajkę, niektórzy mają trochę pożywienia i jedzą, a gdy rozmowa znuży, to trochę drzemia, kiwając się na prawo i na lewo. Zdarza się przytem, że jedna mądra głowa, podczas ogólnego kiwania, zetknie się z drugą i uderzą o siebie nawzajem, — ale to nic, uderzą, odskoczą i znów się kiwają miarowo. Czasem się który pasażer przeciągnie, czasem Berek ziewnie tak głośno, że

się wszyscy obudzą, a niekiedy, gdy się fura nad rowem przechyli, robi się gwałt niezmierny, jakby pożar nagle wybuchnął.

Wymyślają wówczas Berkowi, mówiąc mu, że lajdak jest, że śpi w drodze i życie ludzkie lekceważy, ale on na to nie zważa i albo milczy, lub gdy go zbyt zniecierpliwia, woła grubijańsko:

— Siedźcie cicho, gałgany, bo was naprawdę do rowu wysypię, żebyście połamali swoje kości!

Robi się krzyk, ale sen bierze górę nad złością. Zawzięte głosy milkną, głowy znowu się kiwają miarowo.

Księżyc rzuca z wysokości blade promienie. Ślizgają się one po wychudłych grzbietach końskich, po aksamitnych czapkach, kapotach zatłuszczonych, po brodach czarnych, siwych, kasztanowatych, żółtych, po karkach pochylonych, po wielkim biczu, który tkwi w grubej dłoni Berka i co chwila spracowane konie uderza.

Ciężka fura toczy się po nierównej drodze powoli, toczy się coraz dalej ku stacyi.

Nietylko w Czarnembłocie o jarmarku myślano, ale i w okolicy robiono przygotowania do tej uroczystości obyczajowo-handlowej.

W promieniu kilkumilowym wiedziano, że zbliża się ów dzień ważny.

Drobna szlachta i chłopci robili przegląd inwentarza i namyślali się, coby kupić, a co sprzedać; kobiety myślały o trzodzie, drobiu, o nabiale, jako o środkach do zdobycia chustek kraciastych, perkalików, płócienek, wstążek, koralu i bursztynów ze szkła, paciorków i tych rozmaitych świecidełek, bez których wiejska elegantka z chłopskiej zagrody nie może się obejść.

Cała prawie ludność wioskowa była zmobilizo-

wana i gotowa do wielkiej wyprawy, a dodać trzeba, że w okolicy wioski były gęsto zamieszkane w części przez drobną szlachtę zagonową. Oprócz tych wiosek, w okolicy były wielkie dobra, należące do dwóch magnatów. Obadwaj ci panowie gospodarstwem sami się nie zajmowali i wogóle zaglądali rzadko do swych dóbr, które, podzielone na drobniejsze folwarki, wypuszczali w dzierżawę. Było więc sporo dzierżawców, rządców, ekonomów, leśniczych i pani Małka miała zupełną słuszość, przyznając okolicy tej wyższość nad innemi i twierdząc, że pięciu małych dzierżawców daje miasteczku znacznie więcej dochodu i korzyści, niż jeden duży dziedzic.

Daje więcej, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, w których każdy obywatel zamożniejszy omija miasteczko i, korzystając z kolej żelaznych, handluje nie ze swoimi Żydami, mającymi do niego niezaprzeczone prawo, lecz z jakimiś domami warszawskimi lub zagranicznymi, co jest oczywiście wielkie paskudztwo i naruszenie odwiecznego porządku.

Z czego będzie żył i utrzymywał swoją rodzinę Jankiel Bas, Dawid Śliwka, tyłu faktorów i kupców zbożowych, jeżeli sami dziedzice zaczną handlować? Przecież tym dziedzicom i wszystkim ludziom, którzy żyją z ziemi, nikt ziemi do góry nogami nie przewraca, nikt nie rusza zagonów, wydających zboże, a oni chcą wyrzucić do góry nogami cały handel!

Nie potrzeba dowodzić, że jest to zbrodnia, prawie taka, jak rozbój na publicznej drodze.

Na szczęście w okolicy Czarneoblota panuje dawny system, sprawiedliwy, taki właśnie, jaki powinien być: ani jedno ziarno zboża nie ominie miasteczka, ani jedna kura nie wydobędzie się z siatki, dokoła Czarneoblota rozrzuconej.

Tak właśnie jest dobrze; tak być powinno,

gdyż na świecie od dawien dawna ten jest ustanowiony porządek, żeby jedni orali, a drudzy żeby handlowali. Zaraza czasów nowych wkrada się wszędzie, psuje ład, inne obyczaje zaprowadza, i to właśnie dla ludzi myślących jest przykre, bo oni, widząc jaśniej i dalej, niż śmiertelnicy zwyczajni, przewidują następstwa najgorsze.

Uszer Engelman zastanawiał się nieraz specjalnie nad temi mianowicie kwestyami i przyszedł do bardzo smutnych wniosków. Gdyby dalej poszło w tym stosunku, gdyby dzierżawcy w okolicy Czarnegołota nauczyli się handlować zbożem, a chłopci zrozumieli, co to znaczy spółka, to zaprawdę strach pomyśleć, co by się stać mogło z Czarnegołotem.

Oby nasze oczy tego nie widziały i nasze uszy tego nie słyszały, ale następstwa takiego przewrotu byłyby przerażające! Zacni kupcy, obrotni i wygadani ludzie, uczeni filozofowie, musieliby rąbać drzewo, roztrzasać gnój po polach, kopać kartofle, słowem, wykonywać roboty obrzydliwe i poniżające, bardziej bydłom, aniżeli ludziom właściwe.

Na szczęście okolica Czarnegołota była jeszcze niedostępna dla dzikich inowacyi.

Tam szło wszystko uczciwie, po staremu. Miasteczko było miasteczkiem, każda wieś wsią — jedno drugiemu nie wydzierало atrybucyi — chłop żaden nie handlował, a Żydom ani się śniło orać, lub machać ciężkimi cepami.

Miasteczko kwitło na swej górcie śmieciowej i panowało dumnie nad wioskami, rozrzuconemi wśród pól i lasów.

Już w przeddzień jarmarku, na noc, dążyli chłopci pieszo, ów krowę, ów wołu, albo inne zwierzę prowadząc, a odpoczywali przy gościńcu, w polu lub



w lesie. Wlokły się wozy rzemieślników z sąsiednich miasteczek, wozy bednarzy, szewców, czapników, którzy od wczesnego ranka mieli robić swe kramy na rynku.

Z nastaniem dnia największy się ruch rozpoczął.

Wszystkiemi drogami, drózkami, które do Czarnegoblota wiodły, ciągnęły wozy, biedki, bryczki, dryndule najrozmaitszych fasonów, a ludu pieszego, jak mrowia.

Można się było obawiać, czy się ta wielka publiczność zmieści w tak małej mieścinie, czy przygotowane przez zabiegliwych szynkarzy zapasy napojów i żywności wystarczą?

Próżna obawa.

Wiadomo z praktyki od najdawniejszych czasów, że Czarnegoblota, pomimo swej pozornej szczupłości, jest niesłychanie pakowne.

Podobne ono jest do wańtucha od wełny, który, sam przez się wcale niewielki, gdy go wypchać, wygląda jak Lewiatan. Ma ono piękny rynek, ma place specjalne, na użytek jarmarczny przeznaczone; targ bydłocy, koński i — za wielkiem przeproszeniem — świński.

Targi te rozległe są i nie było zdarzenia, nawet podczas najświetniejszych jarmarków, żeby miejsca na nich zabrakło.

Drogą od Olszanki do Czarnegoblota wiodącej, jedzie wierzchem na chudej szkapie ogromnie czupurny jegomość.

Szkapa pod nim okielznana i osiodłana. Co prawda, siodło nie zanadto wspaniałe: stara, zniszczona terlica, gołem drzewem świecąca, bo skóra z niej zlaźła miejscami, ale zawsze siodło ze strzemionami, jak się należy. <http://rcin.org.pl>



Mąż, na tem siodle siedzący, ma nos potężny, trochę czerwony, wąsiska konopiaste, wielkie, wyraz twarzy zawadyacki, czapkę na bakier.

Jegomość ten jest ubrany w surdut sukieny szaraczkowy, spodnie z płócienka domowej roboty, w kraty czerwone z niebieskiem, buty z cholewami do kolan. Rękę ma narobioną, jak chłop, chociaż chłopem nie jest; cała okolica wie doskonale, że to pan Walenty Wasążek, szlachcic zagonowy z Ol-szanki.

Ma on własną posiadzialność z obejściem i dzie-więć morgów gruntu w jedenastu kawałkach wąziut-kich, a długich niesłychanie.

Niegdyś miał trochę piękniejszą fortunę, ale sporo ziemi sprzedać musiał na „prawo“, bo procesował się wciąż, a zamiłowanie do spraw miał takie, że byle o najmniejszą bagatelę skargi do sądu po-dawał.

Zaledwie się ożenił i gospodarstwo na siebie objął, zaraz ze szwagrami taniec po sądach rozpo-czął i wodzili się o te długie zagony od instancyi do instancyi, a że, jeden drugiemu, rozmyślnie przytem psoty robili, zabijali cieleta, ukręcali łby gęsiom i sa-mi się często za czupryny brali, więc oprócz spraw cywilnych, rosły ciągle karne, z różnem szczęściem dla jednej i dla drugiej strony prowadzone.

Już się Wasążek i dzieci dochował, już mu i ogromne wąsiska urosły, gdy zagonki posagowe w spokojne posiadanie objął, ale nie żałował ani pie-niędzy, ani czasu straconego, bo kawał świata zwie-dził, sądy najrozmaitsze poznał, prawa się owąchał tak, że aż kodeks od niego załatywał, a artykuły wszelkie sypał z pamięci, jak groch z worka.

Żaden z jego sąsiadów do takiej biegłości nie doszedł, chociaż też byli to ludzie na różne sposoby

wypraktykowani i posiwieli w procesach. To też równać się z nim nawet nie śmieli, a w razie potrzeby sami przychodzili o radę prosić.

W takich wypadkach Wasążek tryumfował, zasiadał z powagą na ławie w izbie, lub też na kamieniu przed chatą i odrazu, bez żadnego przygotowania, okiem nawet nie mrugnawszy — wykład miał, gęsto go artykułami prawa przeplatając.

— I niech wam się nie zdaje, ludzie — mówił — że Wasążek jeno na małe sprawy znawca. Ho! ho! Zna on ci i kredytorstwo i hypoteczność, wie dobrze z którego boku co się zaczyna i gdzie się kończy...

Zmarnował większą połowę fortuny na procesy, ale ten miał zysk, że w kaszę sobie napluć nie dał i że po dzień dzisiejszy chodzi z podniesionem czołem i patrzy na ludzi tak z wysoka, jak gdyby siedział na dzwonicy.

Jechał pan Wasążek stępa, fajeczkę ćmił i o nowym jakimś procesie myślał, gdyż z przechodniami i przejeżdżającymi w rozmowę się nie wdawał, a na powitanie ledwie że głową raczył kiwać.

Wtem usłyszał po za sobą turkot i wołanie:

— Wio, wio!

Obejrzał się i wstrzymał trochę szkapę. Niebawem jadący zrównał się z nim.

Był to Jukiel, pachciarz z Zatraceńca, dobrze znany w okolicy Jukiel Katz, bardzo sprytny i obrotny obywatel.

Jukiel siedział wysoko na tak dobrze wyładowanej biedzie, że dziw, jakim sposobem mógł się na niej utrzymać.

— Ho! ho! — zawołał basem Walenty — a niechże cię psi zjedzą, Juklu, toś biedę wypchał dopiero!

— Każdy człowiek swoją biedę pcha — odparł

sentencyonalnie Żyd — a tymczasem dzień dobry panu Walentemu.

— Dzień dobry! Ma się rozumieć, że będzie dobry. Dla takiego spekulanta, jak Jukiel, jarmark to żniwo.

— Jak czasem. Trafi się dobry, trafi się gałgan i częściej gałgan, niż dobry, a ten, choć niby powinien być najlepszy, niewiadomo jeszcze jaki będzie...

— Wielki będzie, nadzwyczajny!

— Skąd to można wiedzieć?

— A toć ludu wali moc! Jak muchy czernieją po drodze. Ile to przed nami, ile za nami, a przecież ta droga nie jedna. O! panie Jukiel, czujesz ty, że będzie dobry jarmark, skoroś tak biedę wypchał, że siedzisz na niej tak, jak na wielbłądzie.

— To same drobiazgi, więcej powiózł mój syn wozem.

— Ha! dawni Izraelitowie jeździli podobnoś i na wielbłądach i na inszych bestyach, prawda?

— Albo ja wiem; ja przy tem nie byłem, zresztą, co mnie do tego, ja mam swojego konia i biedkę — to dosyć dla mnie.

— Niema się o co wstydzić; jeździli starodawne Żydowie na wielbłądach, bo jeździli — i mannę, bywało, swego czasu, jedli, aż im się uszy trzęsły, ale, że im coś do łba przystąpiło i zgrymasili, tedy muszą jeść czosnek. Może nieprawda, panie Jukiel?

Żyd ramionami ruszył.

— Panie Walenty — rzekł — na co wasan zaczepia tych starodawnych Izraelitów, co już od tysiąca lat pomarli. Oni już nie handlują, nie szachrują, oni już leżą w ziemi. Daj im wasan leżeć spokojnie i nie rusz ich, jeżeli masz złość do dzisiejszych,

to ich pozwij do sądu, albo rachuj się z nimi innym sposobem.

— Jukiel swój rozum ma, a ja swój..

— To wielka prawda; zostańmy każdy przy swoim, a jeżeli asan chce, to możemy zrobić handelek na co innego.

— No, no, nie mamy się o co sprzeczać. Tak sobie oto powiedziałem, aby gadać. W drodze się nudzi, porozmawiać więc dobrze. Nie?

— Dlaczego — owszem.

— Cóż wasz dzierżawca w Zatraceńcu?

— Piękny kawaler.

— Ma się rozumieć, że piękny. A rychło z Zatraceńca wyleci?

— Tymczasem siedzi.

— Toć i pies na płocie niekiedy siedzi, ale nie utrzymuje się mocno i zleci... On też jakoś, podług mego rozumu, nie inaczej siedzi, jeno po psiemu...

— Jeszcze mu kontrakt służy na sześć lat.

— Bywa, że i przed kontraktem dzierżawcy wychodzą, albo ich eksmitują. Nie dzisiejszy ja człowiek, zęby na prawie zjadłem, a widziałem eksmisyj więcej, niż mam włosów na głowie. A Jukiel wie, co to jest eksmisya, co?

— Dlaczego nie miałbym wiedzieć! To jest bardzo głupi interes.

— Wasz dzierżawca pozna go niedługo bliżej.

— Co pan Walenty w tem ma? Może pan sam chce wziąć Zatraceniec? Może pan ma amatora?

— Może sam wezmę, może kogo mam, a może sobie jeszcze co inszego myślę, to już mój interes.

— No! w takim razie po co czekać aż pan Różański wyleci? Lepiej iść wprost do niego i porozumieć się. Dajcie dobre odstępne, on nie będzie się upierał. Zarobi trochę i pójdzie dalej. Czy mało na



świecie majątków do wydzierżawienia? Chce pan Walenty, ja mogę być do tego interesu faktorem, usłużę niedrogo, aby tylko cokolwiek, aby darmo gęby nie psuć.

— Albo on zechce odstąpić?

— Niech się pan Walenty nie boi, nie żałujcie pieniędzy, a Zatraceniec będzie wasz na całe sześć lat. I niedość na tem. Jak się sześć lat skończy, to Jukiel będzie umiał trafić do plenipotenty hrabiowskiego i tak interes nakręcić, żeby z wami zrobili kontrakt jeszcze na dwanaście lat. Pan Walenty myśli, że ja plenipotenty nie znam, że ja w Warszawie nie bywam, że nie wiem, gdzie on mieszka? Oj, oj! żebym ja tak drogę do szczęścia znał, jak znam całą Chmielną ulicę i jego mieszkanie! On jest wielki pan, on dużo krzyczy, wielkie fanaberye potrafi, ale swoją drogą z nim można. Z każdym można, tylko trzeba umieć.

— Na bok! z drogi! — rozległ się głos za nimi.

Jukiel skręcił na bok i czapkę zdjął pokornie. Wasążek jeszcze bardziej kaszkiet na bakier nasunął i ani krok nie ustąpił.

— Dla wszystkich droga równa! — mruknał.

Nikt mu nie odpowiedział; stangret w czapce z galonami zręcznie wyminał szlachcica i zasypał go tumanem kurzawy. Zgrabna bryczka, zaprzężona w parę tęgich koni, mignęła się tylko.

— Z drogi! — mruczał Wasążek. — Patrzcie go, jaki pan! On będzie na mnie krzyczał: z drogi! Wielka figura! Zawsze, co ja, to ja; urodzony, tu-tejszy, na własnych śmieciach siedzę, a on co? Dyabli go wiedzą, skąd przyszedł i dyabli go wiedzą dokąd pójdzie, prawda, Jukiel?

— Co wasan do niego cierpi?

— Co mam cierpieć? Niech go licho porwie!



Pychy nie cierpię, bom taki dobry pan, jak i on, a może i lepszy.

— Na jedno pan Walenty jest dobry, na drugie on jest dobry; każdy człowiek jest dobry na taką lub owaką stronę, a pan Walenty, jako człowiek praktyczny, to bardzo dobrze rozumie.

— Macie rację, on dobry na tę stronę, gdzie „Zielony łąbędz”.

— A wasan nie bywa pod „Łabędziem“?

— To co innego; ja zajeżdżam dlatego, żeby bydlę przy żłobie postawić, a samemu pod dachem być, w godnej kompanii wypić i przekąsić, on zaś dla czego innego tam zagląda.

— Tak samo w godnej kompanii potrzebuje czasem wypić.

— A Małka? — zapytał szlachcic, śmiejąc się na całe gardło.

Jukiel splunął nieznacznie.

— Panie Walenty — rzekł — pfe! Wasan powiada to, co nie trzeba. Co Małka? Jaka Małka? Ona jest sobie zwyczajna Żydówka, ma swego męża, swój handel, swoje zatrudnienie, a on jest pan; ona ma swoje kombinacye, on swoje. Co między nimi może być?

— No, juści ślepie ma, psia kość, ładne!

— Pfe! panie Walenty, wielkie pfe! Wasan nie powinien wymówić takie słowo! To nie pasuje na letniego i porządnego człowieka. Oczy! Co za dziwo, że człowiek ma oczy? Ładne, brzydkie, aby oczy, aby widziały.

— No, no, wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

— Niech sobie siedzi, niech wcale nie siedzi, niech leży! Co nam do tego? Daj wasan pokój, panie Walenty, nie mówmy już o tem. Wasan zapewne chce co kupić na jarmarku?

— Nie.

— To po co wasan jedzie?

— Interes mam.

— Pieniędzy?

— A właśnie, muszę spenetrować po mieście, może znajdę jakiego Żydka.

— Przecież ma asan na miejscu w Olszance Chaskiela, bardzo porządny człowiek i chętny do każdej dogodności. Dlaczego on panu Walentemu nie dał?

— Obiecywał, że się na jarmarku postara i właśnie dlatego jadę.

— Niech się pan Walenty nie boi; jeżeli Chaskiel przyobiecał, że się postara, to się postara na pewno. On bardzo słowny jest. Zresztą, dlaczego nie ma być słowny? Panu Walentemu jeszcze można dać pieniądze.

— Dlaczego Jukiel mówi, że jeszcze?

— Bo są tacy, którym już dać nie można.

— No, to skoro mnie można, po co mam czekać na Chaskla. Niech Jukiel sam da, będzie i prędzej i pewniej.

— Może jabym dał, ale mnie nie pasuje, trochęby to było niepolitycznie.

— Aha, żydowska hajzówka! Znam ja się na tem.

— Asan myśli, że asan się zna, asan się wcale nie zna. Są takie interesa, na których nie każdy może się znać. Kto panu Walentemu powiedział o hajzówce?

— A cóż to jest?

— Widzi asan na Żydów gadają dużo, ale w tem gadaniu prawdy jest mało, tak samo i z hajzówką. Dlaczego ma być jakaś hajzówka, kiedy to jest tylko zwyczajna grzeczność i delikatność; jeden

drugiemu nie wydziera chleba z ręki. Czy asan myśli, że teraz łatwo żyć? Wcale nie łatwo, a gdyby jeden drugiemu chciał jeszcze psuć, to chyba wszyscyby z głodu pomarli. Widzi pan Walenty, że niema żadnej hajzówki, tylko jest delikatność i grzeczność.

— Więc takim prawem o moim interesie z wami niema co mówić?

— Ja tego nie powiedziałem. Niech pan Walenty będzie około południa u Małki, może ja tam przyjdę, może Chaskiel przyjdzie, a najprędzej przyjdziemy oba. Może się coś zrobi, może być asan spokojny.

— No, to dziękuję wam, bo mi bardzo pilno potrzeba pieniędzy.

— Asan pewnie chce gruntu przykupić? Właśnie teraz ziemia niedroga.

— Właśnie, że o grunt idzie, ale nie o kupienie, tylko o co innego. Sąsiad mój, Michał, po przezwanu Koszałka, znacie go zapewne?

— Oj, oj, co nie mam znać. Jaki interes ma pan Walenty z tym Koszałką?

— W grunt mi się łajdak worał; miedzy, która moja sprawiedliwa i rodzona jest z dziada pradziada, oderznął mi caluteńką skibę.

— Czy pan Walenty siał na tej miedzy pszenicę?

— Toż Jukiel dziwny, a któż na miedzy sieje? Miedza jest miedza: zielsko jeno na niej rośnie i trawa.

— No, więc w czym on zrobił panu Walentemu stratę?

— On teraz na tej oderzniętej skibie zboże zasieje, ale niedoczekanie jego! Ja zaraz do sądu i żeby miało mnie nie wiem co kosztować, z torbami puszczyć!

— Mnie się zdaje, panie Walenty, że dwa lata temu asan miał sprawę w takim samym gatunku.

— Ho, ho! miałem ja i niejedną.

— I zdaje mi się, że nawet z chłopem, Marcinem Sójką. Przypominam sobie ten interes, tylko ta jest dyferencya, że teraz szlachcic się worał w miedzę pana Walentego, a wtedy pan Walenty. I to też sobie przypominam, że tamtą sprawę pan Walenty przegrał.

— To i cóż? Nie każda sprawa bywa wygrana, ale com się z chłopem po sądach natańcował, to pewnie jeszcze do dzisiejszego dnia pamięta!

— A ile pana Walentego kosztowało to tańcowanie?

— O tem niema co gadać; kosztowało, bo kosztowało, ale chłop się przekonał, że Walenty Waszątek nie da sobie w kaszę dmuchać! Był koszt, ale i skutek był, a skoro skutek był, to koszt bajki!

— Nu, prawda. Każdy człowiek ma swoje lubienie; asan ma lubienie w sądach, asan gotów jeszcze kiedy i mnie sprawę zrobić.

— Niech Jukiel dwa razy tego nie mówi.

— Ale o cobyśmy się mieli prawować?

— O co? To najmniejsza rzecz. Chcecie, jutro was zapozwę i narobię wam takiej kapusty, że jej do Nowego Roku nie zjecie.

— No, niech asan da spokój, co mi po sprawie, co po kapuście — to nie mój interes...

— Ja też tylko powiedziałem dla przykładu, żeby Jukiel wiedział, że jak ja zacznę z kim tańcować, to już rzetelnie. Hulam przez wszystkie instancje i przez kasacyę hulam, że żaden młodzik na weselu tak nie hula.

Miasteczko było już widać. Jukiel szkapinę do

szybszego ruchu przynagłał. Wasążkowi też się spieszyło.

— Pamiętaj, Jukiel — rzekł — że w południe u Małki.

I, uderzywszy konia prętem, wyciągniętym galopem popędził.

Przy wjeździe do miasta ścisk był wielki. Dzierżawca rogatkowego, zmęczony, zadyszany, w czapce na tył głowy zsuniętej, biegał od fury do fury, aby odbierać należne mu groszaki. W czynności tej pomagała mu żona, kilkoro starszych dzieci i, prócz nich, specjalnie na ten dzień wynajęty mąż zaufania, niejaki Wigdor, człowiek biedny, z profesyi tylko krawiec, ale tak dalece uczciwy i rzetelny, że można mu było nawet całego rubla drobnemi powierzyć — bez obawy, że sobie choćby jednego trojaka przywłaszczy.

Wielki krzyk był ciągle przy rogatce, bo każdy chłop wywijał się od zapłaty, jak mógł, lub obiecywał, że należność wieczorem odda, gdy będzie powracał. Dzierżawca rogatkowego, jako człowiek w fachu swoim biegły i doświadczony, znał się na takich obietnicach i przed niewypłacalnym pasażerem rogatkę bez ceremonii zamykał, i to nie na pątyk, jak w zwykłych okolicznościach, ale na ciężką kłódkę żelazną.

Chłop się certował, dzierżawca w niebogłoso krzyczał, że jest skrzywdzony, że w taki sposób może cały majątek stracić, a tymczasem na drodze, przed zamkniętą rogatką, gromadziło się coraz więcej fur, wozów, bryczek, bydła i trzody. Chłopi krzyczeli, klęli, odgrażali się; niejednen, gorętszego temperamentu, z wozu zeskakiwał i, nie zważając na słuszność sprawy, dzierżawcy wygrażał, co przecież było niedelikatnością wysoką.



Przeraźliwy kwik stworzeń nieczystych napętniał powietrze, klątwy i złorzeczenia wzmagaly się, dzierzawca o mało nie płakał ze złości i życzył swoim wrogom, żeby w godzinę śmierci mieli taki niepokój, taki czarny, taki brzydki dzień.

Nareszcie chłop wydobył z kalety kilka miedzaków, szlaban się podniósł i liczne wozy, zawadzając jeden o drugi, wślaczały się do miasteczka.

Co pół godziny, co kwadrans, powtarzała się taka sama historia. Poborca rogatkowego ochrypl, żona jego, dzieci i mąż zaufania zupełnie utracili siły od targowania się i wrzasku.

Coraz trzeba było szlaban zamykać i coraz awantury przechodzić, coraz nową falę ludzi i zwierząt do miasta wpuszcząć.

Gwałt jednak przy rogatce, w porównaniu z gwałtem, jaki się dział w samem miasteczku, w rynku mógł się wydawać niby łagodny szmer strumyka wobec ryku oceanu, podczas gwałtownej burzy.

Tam dochodził on do zenitu, huczał, szumiał niby wezbrana fala wody, gdy — pozrywawszy groble i szluzę — szaleje.

W dniu jarmarcznym, nawet ludzie bogobojni i uczeni, wyłącznie oddający się medytacyom i czytaniu ksiąg, przerywali swe zajęcia i wychodzili na rynek, aby swoją obecnością uświetnić dzień nadzwyczajny.

I słusznie wydawać się mogło tym myślicielom, że w owym dniu wyjątkowym rodzinne ich miasto Czarnebloto jest niby królową wiosek, do której wszystek lud okoliczny przychodzi z pokłonem i darami, że jest wielką świątnią handlu i spieszy do niej naród wszelki, aby złożyć dziesięcinę w bydło, zbożu i wszelkim towarze, a ten wielki krzyk i har-

mider, to niby hymn pochwalny na cześć Czarnego-błota, odśpiewywany przez tysiące głosów różnorodnych.

Taki widok wzrusza, raduje źrenice oczu, głaszcze serce, napelnia usta smakiem słodczy przedziwnej.

Jest to dzień ruchu, dzień życia i dzień żniwa dla tych, którzy dni siewu nie znają.

Dom pod „Zielonym łabędziem“ jest w obleżeniu; od samego rana wszystkie trzy kajuty tego korabia pełne są podróżnych, bo dzień jarmarczny tą się jeszcze właściwością odznacza, że wzbudza w ludziach wielkie pragnienie do picia. Wiedzą o tem dobrze szynkarze i dbają pilnie, aby zawczasu zasilić źródła, do których przyjdą spragnieni dla ochłody lub rozgrzania.

Zbliża się południe, złota kula słoneczna pali się na wysokościach, gorące promienie na ziemię rzucając, na rynku zgiełk coraz większy, po kramach tłok nadzwyczajny, przez ulice z trudnością przepychać się trzeba.

Pod „Łabędziem“ pani Małka na swoim stanowisku od rana. Dzieli ona swoją energię pomiędzy sklep a salon pierwszej klasy. Ubrała się niby po domowemu, ale elegancko. Obcisła suknia uwydatnia jej kształty; w uszach błyszczą kolczyki z brylantami, na szyi sznur pereł, na pulchnej białej ręce bransoleta ze szmaragdem. Rano piękna dama z pół godziny przepędziła przed lustrem; mąż jej zauważył to, splunął i w myśli podziękował Bogu, że go nie stworzył kobietą, że nie uczynił go naczyniem próżności.

— Co to jest — myślał sobie — za głupota pół godziny siedzieć przed zwierciadłem i przypatrywać się — czemu? Własnej gębie, nosowi, oczom,

ustom, włosom! I po co? Aby ucieszyć złego ducha, który wymyślił zwierciadło? Co jej przyjdzie z tego? Czy, chociażby dwadzieścia cztery godziny na odbicie twarzy swojej patrzyła, przybędzie jej jeden grosz do majątku? Pfe, pfe i jeszcze raz pfe! Wysoka jest drabina próżności, ale mąż roztropny nawet na pierwszym jej szczeblu nogi nie postawi, nie będzie się przyglądał własnemu swemu nosowi, nie będzie hołdował brodzie swojej; niewiasta natomiast wdrapuje się na najwyższy szczebel, przy pomocy współnika swojego, szatana, który od samego świata początku lubi z kobietami handlować.

Dalsze rozmyślanie na ten temat Mojsie musiał odłożyć do właściwszej chwili, gdyż teraz czem innem zaprzątnięty miał umysł. Żona powierzyła mu nadzór nad klasą drugą i trzecią, a obie były pełne gości i chociaż kuzynowie Mojsia, chwilowo zatrudnieni przy nalewaniu kieliszków i wydawaniu butelek, byli porządni ludzie i godni zaufania, jednak nie zaszkodziło, że czujne oko gospodarza, chociaż od czasu do czasu, znienacka padało na ich ręce.

Nic bowiem łatwiejszego, jak się cokolwiek omylić, a omyłka najczęściej trafia się takim właśnie ludziom, którzy, rzadko bardzo własny grosz posiadając, nie mają wprawy w liczeniu. A takich tylko do pomocy brać można, gdyż wielki kapitalista nie zechce się wynająć do nalewania kieliszków w szynkowni.

Do „salonu“ wszedł młody dzierżawca, zrzucił z siebie szare okrycie płócienne, siadł na trzeszczącej kanapie i główką od szpicruty w stół kilkakrotnie uderzył.

Na to wpadł zaraz zadyszany „myszures“, stały majordomus zajazdu i, kłaniając się nisko, zapytał:

— Co wielmożny pan rozkaże?

— Nie był tu jeszcze Jankiel?

— Nie, ale nadejdzie, tylko patrzeć; jeżeli pilno, mogę polecieć po niego.

— Dobrze, powiedz mu, że ja przyjechałem i czekam.

— Zaraz lecę, już lecę! Czy mam kazać stangretowi, żeby do stajni zajechał?

— Naturalnie. A gdzie gospodyni?

— Pani Małka w sklepie jest, ale ona tu zaraz przyjdzie. Jak się tylko dowie, że wielmożny pan przyjechał, to w ten moment przyjdzie.

Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy Małka weszła.

— Taki gość! — rzekła z uśmiechem — taki rzadki gość, to jest zdarzenie, naprawdę.

— Jakże się pani miewa? — zapytał, biorąc ją za rękę.

— Nie życzę moim wrogom, żeby się tak mieli, jak ja.

— Co pani zawsze tych wrogów ma na myśli? Któż oni są? Może i ja do ich liczby należę?

— Fe, jak można tak niedobrze myśleć o mnie? Chociaż...

— Co?

— Pan dobrze wiesz co. Pan lubisz czasem żartować i mówić takie słowa, których mnie nie wypada słuchać. Czy tak robi przyjaciel? Czy...

— Nie wypada? Na środku rynku powiem, że piękniejszej od pani kobiety w życiu mojem nie widziałem i że szkoda pani dla takiego szkaradnego i brudnego Żyda, jak szanowny pani małżonek.

— Cicho, cicho, dość, daj pan pokój...

Młody człowiek znów ujął piękną Małkę za rękę, przyczem bransoletka, zapewne źle zapięta, upadła na ziemię.



Podniósł ją zaraz i podał właścicielce.

— Widzi pan — rzekła — niechający zrobił mi pan szkodę.

— W czym?

— Tu był kamień, widocznie wypadł na ziemię. Zaraz go trzeba poszukać i niedość, że poszukać, trzeba go wprawić, a kto to robi? Czy w naszym kochanem Czarnembłocie jest porządny jubiler? Raz mi się popsuł kolczyk, to musiałam go dać do reparacji blacharzowi.

— Blacharzowi?

— Cóż miałam robić? Spieszyłam się wtedy na bardzo znaczne wesele. Jankiel córeczkę zamaż wydawał, a kolczyk miałam zepsuty. W całym mieście, prócz kowala, bednarza i szewców, niema rzemieślników, byłam więc w wielkim kłopotcie. Dopiero mąż doradził mi, żeby zawołać blacharza... Jeżeli potrafi naprawić kwartę, może naprawi i kolczyk. No, i naprawił. Później reparacja tej blacharskiej reparacji kosztowała mnie kilka rubli. Ach! co pan najlepszego zrobił! Kamyk zginął, taki kosztowny kamyk! Doprawdy, dla mnie duża szkoda jest.

— Szukajmy.

Nachylili się oboje i zaczęli szukać. Mojsie, spieszący z koszem butelek do drugiej stancyi, zobaczył to przez drzwi nawpół otwarte.

Narazie nic nie rzekł, ale pomyślał sobie, że taka wspólna czynność jest bardzo podejrzana i że można o niej myśleć i tak i owak i jeszcze inaczej...

Co oni mogli zgubić i czego szukają?

Kamyk się nie znalazł, piękna kupcowa była bardzo zafrasowana.

— Niech-no mi pani da tę bransoletkę — rzekł młody człowiek.

— Na co? <http://rcin.org.pl>



— Wybieram się do Warszawy w tych dniach, więc każe wstawić nowy kamyk. Zapewne był to brylancik?

— Oj, i jaki brylant — odrzekła z westchnieniem — bardzo ładny, duży brylant.

— Zapewniam panią, że i ten, który każe wstawić, nie będzie mały, a jeżeli znajdą się przy nim jeszcze jakie inne kleynociki, to chyba pani wielkiej przykrości nie sprawi?

— Komu to kleynociki mogą sprawić przykrość?

— I nie będzie mnie pani uważała za swego wroga?

— Nie mówmy o tem. Sam pan wie, że tak nie jest. Pomówimy o tem kiedyindziej; dziś jarmark, ja muszę wracać do sklepu. A może panu czem służyć?

— Wyjdę teraz na miasto. Zobaczę konie, za pół godziny wrócę, to mi pani każe dać co zjeść.

— Dobrze, owszem.

— A gdyby Jankiel przyszedł, niech go pani wstrzyma.

— Na co panu Jankiel?

— Pieniędzy mi trzeba, może pożyczę, może trochę zboża kupi. Obedrze mnie porządnie.

— Dlaczego?

— Bo to Żyd twardy, jak kamień.

— Niech się pan nie lęka, moja w tem głowa, żeby on był miękki, jak wosk.

— Dopomoże mi pani?

— Pan się pyta? A kiedyż to ja panu nie chciałam pomódz? Ja zawsze po pańskiej stronie.

Słowom tym towarzyszył tak przyjemny uśmiech, że młody człowiek byłby chętnie zepsał

drugą bransoletkę, ale nowi przybysze weszli do „salonu“.

W kwadrans później, Mojsie spotkał Małkę w sieni. On szedł po nowy transport butelek, ona wybiegła, aby zawołać służącą.

Bez żadnych wstępów Mojsie rzekł gwałtownie do żony:

— Słuchaj-no, Małka, czegoś ty szukała na podłodze z tym...

— Z kim?

— Nu, z tym gojem!

— Czyś co zgubił?

— Ja nic nie zgubiłem.

— W takim razie nie bądź głupi i nie zawracaj mi głowy.

Na taką ostrą i stanowczą odpowiedź, Mojsie replikować już nie miał odwagi, postanowił jednak w duchu, że przedewszystkiem, jak tylko będzie miał czas wolny, to się namyśli, a jak się już dobrze namyśli, weźmie się z całą energią do rzeczy i zdobędzie odpowiedź na pytanie: czego oni szukali?

Dla ścisłości historycznej dodać należy, że pani Małka, natychmiast po wyjściu dzierżawcy, znalazła swój szmaragd, że bardzo troskliwie zawinęła go w papier i schowała do mocnej dębowej szkatułki, w której przechowywała kosztowności własne i przyjęte na zastaw.

---

## ROZDZIAŁ V,

**opisujący trzy wielkie sale operacyjne, oraz znakomitych chirurgów i ich obiecujących asystentów.**

Nie potrzeba jeździć do Berlina, lub do Wiednia, żeby poznać działalność znakomitych operato-

rów; w Czarnemłocie także można coś widzieć, a nie będzie w naszych słowach ani odrobiny przesady, gdy powiemy, że chirurgowie czarnobłoccy, bez użycia noża, bez rozlewu krwi, nie sprawując pacjentom dolegliwych cierpień fizycznych, dokonywają operacyj nadzwyczajnych, o jakich nie śniło się najznakomitszym profesorom i praktykom, mającym europejską sławę. Szczególniej, gdy idzie o usunięcie nowotworów charakteru monetarnego, zręczność chirurgów czarnobłockich granic nie ma i przechodzi wszelkie wyobrażenie. Choćby nawet chłop połknął garść miedzianych groszaków, wydobędą je z niego tak szybko i zgrabnie, że ani się spostrzeże, kiedy ciężaru niepotrzebnego się pozbył.

W dzień jarmarczny chirurgowie czarnobłoccy najgorliwiej i najenergiczniej pracują. Ledwie jednego pacyenta zoperować zdążyli, już drugi jest na stole, a trzeciego odurzają, żeby był gotów.

Zajazd pod „Zielonym łabędziem“ podobny jest w tym dniu do olbrzymiej kliniki, w której pacjentom jest tak przyjemnie, jak gdyby napełniona była gazem rozweselającym. Tak tam gwarno i huczno, tak szkło brzęczy, tak się pacyenci śmieją, że patrzący z boku mógłby mniemać, iż się im coś bardzo przyjemnego wydarzyło, lub, że wspólną a radosną uroczystość obchodzą.

W paradnej sali młody dzierzawca w dość niebalej pozie zasiada na kanapie, pani Małka chloroformuje go pełnem obietnic wejrzeniem ogromnych czarnych oczów, tudzież winem, które dla tak rzadkiego i nadzwyczajnego gościa sama własnoręcznie z piwnicy przyniosła.

Główny chirurg i sławny operator, Jankiel Bas, z niezmierną powagą gładzi brodę, jego dwaj asystenci, Tobiasz Glancman i Noach Szparag, gestyku-

lują na stronie i wiodą między sobą spór bardzo ożywiony.

Jankiel Bas, jak trafnie przewidywał dzierżawca, jest dziwnie twardy, jest tak twardy i nieugięty, jak sztaba żelazna. Pani Małka usiłuje go zmiękczyć cokolwiek, co jej przychodzi z trudnością; młody człowiek nie może ukryć pewnego niepokoju, gdyż niepewny jest rezultatu. Cała jego nadzieja w pięknej gospodyni, która mu przyrzekła poparcie i wzrokiem bardzo wymownym zdaje się to przyrzeczenie ponawiać.

Ale to będzie drogo kosztowało i nic dziwnego, bo istotnie interes jest twardy. Przedewszystkiem Jankiel Bas jest twardy i nieusposobiony; wyraźnie powiada, że nie ma do proponowanej transakcyi ani chęci, ani pieniędzy.

Co do pierwszego punktu, ustępuje jedynie naleganiom i prośbom pani Małki; co do drugiego zaś, musiałby się starać o współników, ale jacy to współnicy! Niefachowi ludzie od zboża, nawet nie faktorzy. Tobiasz Glancman, młody człowiek, dopiero zaczyna się puszczać na geszefta, jest jeszcze nieśmiały i nie decyduje się łatwo; Noach Szparag, przeciwnie, jest już stary i prawie wycofany z interesu i musi przynajmniej dziesięć razy zażyć tabaki, zanim poweźmie postanowienie, że trzeba coś zrobić. Jankiel zaś, trzeci i główny współnik w tej aferze, przystępuje do rzeczy bez „fajeru“ i zdradza tendencję ospałą, ziewa bez ceremonii, jak nie pod „Łabędziem“ w dzień jarmarczny, ale jakby u siebie w domu, w święto, popołudniu.

W przemówieniach jego czuć gorycz i zniechęcenie.

— Pan zapewne sądzi, że zboże jest towar.

Niezawsze, jak czasem. Niekiedy jest dobry towar, a niekiedy bywa wart tyle, co śmiecie.

— Moja pszenica jest prześliczna; widział Jankiel zapewne, przejeżdżając przez Zatraceniec.

— Owszem, widziałem, bardzo ładna pszenica, ale cóż z tego, kiedy teraz cena brzydka; kto kupuje w tym roku, jest wielki ryzykant, może grubo stracić.

— Dlaczego?

— Dlatego, że przychodzi taki telegraf do Gdańska, że w Ameryce szlachta ma ogromny urodzaj w tym roku, że cały świat pszenicą zasypie; Węgry też mają zboża więcej niż zawsze — wszędzie urodzaj, na całym świecie urodzaj — zboże będzie za bezcen i w małym ruchu. Kto może chcieć kupować?

— Jankiel kupi — rzekła pani Małka z uśmiechem. — Ja wiem, że Jankiel kupi

— Kupię, ale bardzo tanio.

Wymienił cenę, dzierzawca aż się zerwał z kanapy.

— Ależ to nie sposób?

— Niema w handlu gniewu, niema w handlu przymusu. Niech się pan wstrzyma do wiosny, może będą ceny lepsze, może się trochę poprawi.

— Pan wiesz, że wstrzymać się nie mogę.

— Więc musi pan sprzedać tanio. Ja powiedziałem już, że pieniędzy teraz dużo nie mam, muszę do tego interesu mieć współników, to też wpływa na cenę.

— A to z jakiej racji?

— Bardzo prosta racja. Jeżeli ja robiłbym sam ten interes i skorzystał na nim, dajmy na to, mówiąc dla przykładu, rubla, — to ja będę bardzo kontent, że zarobiłem rubla; a skoro jest prócz mnie



dwóch wspólników, to oni też chcą być bardzo kontenci i także zarobić po rublu. To jest jasne, jak dzień.

— Ma się rozumieć — rzekł Glancman — my też chcemy żyć.

Rozpoczął się targ zawzięty. Młody człowiek z początku trzymał się twardo, lecz widząc, że nie poradzi, stawał się coraz skłonniejszym do ustępstw. Pieniądzy potrzebował na gwałt, o czym wspólnicy wiedzieli doskonale.

Podczas targu, pani Małka rzuciła od czasu do czasu delikatne słówko, aby zmiękczyć twardość Jankla i jego wspólników, lub w celu przekonania młodego człowieka, że sprzedaż, jaką czyni, aczkolwiek nie jest wyjątkowo świetna, jednak... bywają na świecie daleko gorsze.

— W tym roku rzeczywiście cena mała — mówiła — ale pan jesteś człowiek młody...

— Aj, aj! i jaki młody! — wtrącił Jankiel — ja już nie pamiętam, kiedy taki młody byłem.

— Pan masz czas, pan możesz się doczekać daleko lepszych, bardzo wysokich cen!...

— Aby tylko zdrowie było — dorzucił Glancman — to się wszystko wyrówna.

— Handlowy interes — zakonkludował Jankiel Bas — dziś stracił, jutro zarobił, aby handel szedł.

Cały stół, z którego przy zawieraniu transakcji zazwyczaj zdejmowano serwetę, zapisany był kredą przez Jankla i przez jego wspólników.

Jest to obyczaj bardzo słuszny. Kreda, minerał szlachetny, a zarazem niedrogi, jest jakby stworzona do notowania umów przedwstępnych i obrachowań tymczasowych. Ślad jej daje się z łatwością zetrzeć rękawem, albo chustką, a stół pozosta-

je czysty, jak gdyby nigdy żadnych umów na nim nie zawierano.

Każdy porządny kupiec nosi kredę w kieszeni, bo ona we wszelkiem zdarzeniu może się przydać, bo ona jest niejako poprzedniczką atramentu, którego znaczenie jest zupełnie inne. Atrament ma charakter stały i bardziej poważny; zaraz też, gdy kreda kończy swą rolę, on swoją zaczyna. To też, kiedy Jankiel powiedział wielkie słowo: „siojn!“, pani Małka natychmiast przyniosła kałamarz, pełen utopionych much, ale zresztą bardzo porządny, dwa arkusze szarego papieru i pióro.

Pisanie nie zabrało wiele czasu, a gdy już było skończone, Jankiel wydobył z kieszeni ogromny skórzany pugilares, dający się rozciągać niby harmonijka i wyrzucił z niego na stół paczkę zatłuszczonych banknotów. Operacya była skończona; Jankiel i jego wspólnicy wyszli ze stancyi, a pani Małka, niby trochę zażenowana, mówiąc ciągle o przyjaźni, życzliwości i swoim dobrem sercu, przyjęła jednak dość sute porękawiczne, jako wynagrodzenie za to, że skruszyła twardość Jankla.

Młody człowiek wyszedł na miasto, a za chwilę na tej samej kanapie, przy tym samym stole, operowano już drugiego dzierzawcę, jakiegoś siwego wąsacza, który widocznie miał bardzo gwałtowny temperament, gdyż wymachiwał ciągle rękami, kłął strasznie, a na powłóczyście spojrzenia pięknej kobiety wcale nie zważał.

W chwili uniesienia posunął nawet gburowatość do tego stopnia, że powiedział do zachwycającej kupcowej te słowa:

— Niech Małka nie przewraca ślepiami, bo to się na sto dyabłów nie zda! Widziałem ja już ładniejsze, kiedy jeszcze Małki na świecie nie było.

Niewiele szlachcicowi ta krewkość i gwałtowność temperamentu pomogła; zoperowano go równie szybko i zręcznie, jak łagodnego młodzieńca, a przy odbieraniu porękawicznego, Małka zrobiła do niego takie słodkie oczy, jakie tylko kot może zrobić do myszy, gdy ją zdaleko spostrzeże. Nie było mowy o uczuciach przyjaźni i poświęceniu, a natomiast szedł targ zawzięty, przy którym nie dobierano wyszukanych wyrazów.

Wszystko to jest jedno zresztą, gdyż różne są metody załatwiania interesów, a wszystkie w skutku jednakowe.

Delikatnego — trzeba operować delikatnie, szorstkiego — szorstko i bezwzględnie.

Dzień był doskonały, transakcye szły wyborne, ogromny pugilares Jankła napełniał się dowodami, grubiał, pęczniał, puchł, i można było bez przesady powiedzieć, że mieścił w sobie prawie całą okolicę Czarnobłota.

Po dzierżawcy gwałtownym przyszedł spokojny, po spokojnym płacziwy i wyrzekający na złe czasy, po tamtym apatyczny, mający minę człowieka, któremu dawno już życie obrzydło.

Byli i oficjaliści, którym trzeba było pożyczyć na rachunek tentyemy — byli różni ludzie i wszyscy wychodzili zoperowani biegle, wprawnie, zręcznie, z niezawodną pewnością ręki i spokojem mistrza, działającego świadomie i napewno.

Część pieniędzy, otrzymanych przy kupnie lub pożyczce, zostawała w sklepie pani Małki, w tym pierwszorzędnym sklepie czarnobłockim, w którym można było dostać wszystkiego, czego tylko dusza zapagnie, od wina do nafty, od herbaty aż do smarowidła.

Znana to w Czarnobłocie zasada, że pieniądz

powinien szybko i przez bardzo wiele rąk przepływać, do każdej albowiem jakaś odrobinka przyłgnie, a z tych odrobinek ludzie mają życie.

Naturalnie, że pojęcie o odrobince jest bardzo względne. Co jest okruszyną dla Jankla Basa, wydawać się może ogromem dla dzierżawcy rogatkowego, a odrobinka, jaką w dniu jarmarcznym zyskuje pani Małka, warta jest znacznie więcej, niż całoroczny dochód filozofa Engelmana.

W drugiej stancyi było o wiele gwarniej, zwłaszcza w południe i popołudniu, gdy ruch jarmarczny dochodził do kulminacyjnego punktu. Tam między szaraczkami, pełnymi buty i animuszu, przewijali się operatorowie specyjalni, pachciarze wiejscy, kapitaliści, nie tacy wprawdzie zamożni, jak Jankiel Bas, ale swoją drogą bardzo porządni i solidni ludzie; przyczyniali się oni, jak mogli, do ożywienia stosunków handlowych Czarnegobłota i okolicy, a każdy z nich dla większego kupca wart był tyle, ile najlepsze biuro informacyjne.

Czego nie wiedział naprzykład taki Jankiel z Zatraceńca, Chaskiel z Olszanki, Mendel z Wierzbówki? Oni wiedzieli, kiedy u którego gospodarza kura jajko zniosła, ile które krowa mleka daje, ile motków przędzy, wianków cebuli, grzybów suszonych, czosnku wisi na strychu. Nie było dla nich nic skrytego, żadnych tajemnic. Wiadomo im było, jaki przy której stajni jest zamek, jaki charakter ma każdy kundel podwórzowy, znali najdokładniej wszelkie drożynki polne i leśne, ścieżki między zbożami, doły w polach, suche rowy, słowem całą topografię wioskową jak najdokładniej.

O każdym chłopie mogli dać informację wyborną: czy jest pracowity, czy próżniak, trzeźwy, czy pijak, czy ma babę dobrą, czy złą, czy się jej



boi, czy nie. Wiedzieli, co warte są jego dzieci: czy lubią palić papierosy i kosztować słodkiej wódki, czy też nie dadzą się skusić zapomocą tych środków.

Od tych informatorów dowiedzieć się było można z całą dokładnością, czy w danym folwarku karbowy ma cholewy u butów bardzo szerokie, czy zwyczajne; gdzie są składane na noc klucze od śpichrza; który fernal ma zamiłowanie specyalne do handlu owsem; który pastuch nie broni znajomemu Żydkowi wejść do obory i zaglądać do żłobów; który owczarz zna się na rzeczy i umie wybierać braki, jak się należy.

Oni wiedzą najdokładniej, kiedy w folwarku fornale śpią w czworakach, a kiedy w stajni, kiedy śpią twardo, kiedy lekko, a kiedy bardzo mocno. Wiedzą, ile kto na wsi ma pieniędzy, ile mu brakuje, czy ten brak, jest bardzo dokuczliwy, czy też można go wytrzymać i do jakiego czasu.

Gdyby ich kto przebudził z głębokiego snu, mogą powiedzieć bez zająknienia, ile kto posiada stożków siana i kop słomy, czy ma czem przeżywić konie i bydło do wiosny, czy też je musi na jesieni sprzedać.

Jest taki paskudny inwentarz, na który szanujący się kupiec nie powinien patrzeć, a jeżeli wypadkiem spojrzy i zobaczy, to wypada mu splunąć. Wiejski Żydek też spluwa, ale swoją drogą liczy sztuki i ocenia je. Wie on dobrze, ile warte jest prosię, ile chudy podświnek, a ile spasiony karmnik.

Jest to obrzydliwe towaroznawstwo, ale w interesie przydatne, a częstokroć się zdarza, że szanujący się kapitalista pożycza chłopu pieniądze na taką nieprzyzwoitą ewikcyę.

Chłop się zaklina, że jak tylko wieprze sprzeda, zaraz dług odda.



Paskudna hipoteka, ale cóż robić? Pilnuje więc chłopa na jarmarku, żeby pieniędzy nie stracił, zanim oddać je zdąży.

Właśnie i Wasążek taką Chaskłowi i Jukłowi, którzy porozumieli się w dwóch słowach, ewikcyę przedstawiał. Kapitałiści spluwali, mówiąc, że od takiej godnej osoby, jak pan Wasążek, zapewnienia nie potrzebują, że im zwykły rewers wystarczy, ale zarazem spojrzeli wymownie jeden na drugiego. Jukiel był spokojny, wiedział bowiem, że od tego dnia chlew Wasążka pozostawać będzie pod ścisłą kontrolą i że żadna zmiana w brzydkim personelu jego mieszkańców nie ujdzie przed baczem okiem Chaskła.

Niebardzo jest przyjemnie patrzeć na takie stworzenia i na nich opierać pewność kapitału, ale jeżeli inaczej nie można, to lepiej wziąć jeszcze dwa procent miesięcznie wyżej za nieprzyjemność, niż nie robić wcale interesu, lub opierać go na pięknych oczach Wasążka, albo, co na jedno wynosi, na powietrzu.

Wielki i ciężki był targ Żyda z szaraczkiem, trochę już ciętym dla fantazyi. Wasążek wymyślał swoim dobroczyńcom od rozbójników i wisielców, życzył im, żeby zgnili w prochowni, lub w jeszcze gorszym kryminale. Zgodę przybijał im na dłoniach twardą, narobioną ręką, ciężką, jak z ołowiu, silną, jak ze stali.

Jukiel wrywał dłoń.

— Pfe! niech acan tak nie bije! Acan może miarkować, że to boli...

— Głupiś i obyczaju nie znasz... dobra zgoda— dobre przybicie. Robimy zgodę, czy nie?

— No, już, już!

— A to dawaj reke.

— Na co?

— Bez wykrętów. Ma być zgoda, niech raz będzie zgoda i skutek!

Pochwycił rękę Jukła i uderzył w nią swoją dłonią tak silnie, że aż Żyd odskoczył.

— Niech acan nie robi awantury, do czego to podobne jest? Niech acan lepiej siada przy stole i pisze rewers. Czy acan piśmienny jest?

— Czy ja piśmienny? A cóż to sobie myślisz? Ja na kodeksach i na sprawach zęby zjadłem i piśmiennymbym nie był? Ręka w pracy zeszytniała krzynekę, ale pisma się ona nie boi.

Tak samo, jak w głównym salonie, kreda ustaąpiła pola atramentowi. Walenty zasiadł przy stoliku, odsunął butelki, kufle i zaczął pisać. Ciężko mu to szło, w izbie było ponuro i duszno. Gdy się nachylił nad stołem, a jako chłop wysoki, bardzo zgiąć się musiał, żyły na czole i na skroniach wystąpiły mu, jak baty, twarz nabrała koloru karmazynowego, z czoła krople potu, niby ziarna grochu, spadały na papier.

— Acanu, panie Walenty, krzynekę ciężko jest — zauważył Jukiel.

— Gorąco, psia dusza!

— Nu, z rewersem nie można czekać do zimy.

— Pomaleńku napiszę.

— Ja acanu co powiem, panie Walenty, na co się pan ma zrywać i męczyć, tu Żydek jeden przyjdzie. On bardzo lekki do pióra jest, w jednej minucie napisze i drogo nie weźmie. Porządny chłopak, da mu pan cokolwiek za fatygę, bogatelkę, i będzie kontent.

— O to! jeszcze będę Żydziałkowi kieszenie napychać! Dość mnie już kosztujecie!

— Ale niech no pan Walenty uważa, że pana

Walentego pisanie długo zabawi, a my nie mamy czasu. Dziś jarmark, dziś godzina więcej warta, niż zwyczajnie trzy dni. Ja poślę po Żydka.

— Czekać, czekać! — odpowiedział Wasążek i zdjął przedewszystkiem z szyi czerwony szalik wełniany, który pomimo gorąca miał na sobie, następnie zrzucił surdut, kamizelkę, rękawy od koszuli zawinął po łokcie i tak roznegliżowany, chociaż kobiet w izbie nie brakło, do pisania zasiadł.

— No, teraz — rzekł — pójdzie już, jak po mydle, zobaczysz.

Szło oporem.

Ręka mokra przylepiła się do papieru, mu- chy, obsiadające łysinę, przeszkadzały zebrać myśli, pióro wyślizgiwało się z ręki.

Wielkimi literami wypisywał szlachcic: „Ja niżej podpisany własnoręcznie, Walenty Wasążek...“ Znowuż umoczył pióro w kałamarzu, ale umoczył zanadto i ogromny kleks rozlał się po papierze.

— No, co teraz będzie? — spytał Jukiel.

— Uf! gorąco piekielne; siedzę, jak w piecu, ciężko! Niech będzie, co chce, posyłaj po onego Ży- dziaka wnet.

Chaskiel pobiegł i mistrza od pióra z sobą przyprowadził.

Był to Żydek blady, jak kreda, szczupły, w ka- pocie nieco krótszej, niż czarnobłocka moda wyma- ga, z oczami zapadłymi, piersią zakłęśłą, suchotnik.

— To ty, Żydku, taki mechanik od pióra? — zapytał Wasążek.

— Ja. Co ma być?

— Napiszesz rewers, a ja podpiszę.

— A co ma być?

— Rewers, powiadam ci. Czyś głuchy?

— Słyszysz, ale chcę wiedzieć, co ma być?

— On się pyta, co za to dostanie — wtrącił Jukiel.

— A cóż ty chcesz?

— Rubla.

— Żebyś ty zmarniał, cygańsko duszo! Rubla za głupi rewers!

— Co ja winien, że wasan chce napisać głupi rewers?

— Chcę, bo biore pieniądze.

— Ja też chcę brać pieniądze.

— Panie Walenty, nie bałamućmy — prosił Jukiel — to jest jarmark, mamy jeszcze dużo interesów do zrobienia.

Po krótkim targu, Żydek, jako człowiek miękiego serca, dał się przekonać, że za napisanie rewersu żąda trochę zadrogo i poprzestał na dwudziestu groszach, które mu Walenty zaraz po uskutecznionej czynności doręczył. Następnie skrypt podpisał, pieniądze do kieszeni zgarnął i spokojny, że już będzie miał o czym z sąsiadem taniec rozpocząć, udał się na miasto, aby sprawunki załatwić.

Gdy Wasząnek robił transakcje finansowe pod „Łabędziem“, sąsiad jego i przeciwnik zarazem, uczynił to samo pod „Kogutem“. Tak więc obadwaj byli przygotowani do niekrwawej przed kratkami sądowymi rozprawy.

Dodawało im to animuszu i fantazyi nadzwyczajnej. Myny mieli zawadyackie, czapki zbakierowane, chód wprawdzie niepewny, ale nadzwyczaj śmiały. Ludzie ustępowali im z drogi.

— W trzecim oddziale wielkiej polikliniki pod „Zielonym łabędziem“ operowano chłopów. Krzyk tam był ogromny, rechwach nadzwyczajny.

Chłop w normalnych warunkach mówi głośno, a gdy wypije parę półkwatek, krzyczy; delika-

tny człowiek, jeżeli chce chłopą przekonać i wpakować mu w twardą mózgownicę pewnik, że dwa i dwa jest siedm, musi krzycheć jeszcze głośniej, że zaś w szynkowni znajdowało się współcześnie ze czterdziestu chłopów, ze dwadzieścia bab i kilkunastu delikatnych ludzi, więc łatwo sobie wyobrazić, że panował tam pewien szmer czysto jarmarczny. Nawet Mojsie Fisch, który sam nieraz mówił, że niezmiernie lubi ten rodzaj muzyki i nad wszelkie inne go przekłada, od czasu do czasu zatykał uszy i krzywił się z nadmiaru rozkoszy.

Piękny organ głosu miał Michał Rokita, jeszcze piękniejsze Bartłomiej Podsiadło, Roch Pierzchała, Filip Jagoda. Głosy tych ludzi były bardzo mocne, tak mocne, jak ich plecy rozrosłe, ręce potężne, mięśnie żelazne.

Wszystko na świecie musi mieć swój koniec, więc też i jarmark się skończył.

Jak rano szeregi fur pięły się różnemi drózkami na wzgórze czarnobłockie, tak o zachodzie słońca, znowuż temi samemi drózkami, staczały się na dół, każda jakąś cząstkę z siebie w Czarnobłockie zostawiwszy.

W miasteczku gwar się uciszał, natomiast na drogach było głośno. Niejeden wieśniak, podocho-ciwszy sobie, śpiewał na cały głos, inni kłócili się, inni rozmawiali.

O północy, a nawet jeszcze po północy, sły-chać było turkot wozów i głosy zapóźnionych jar-markowiczów, jakby na stwierdzenie tej wielkiej prawdy, że droga na jarmark jest znacznie krótsza, aniżeli droga z jarmarku.

Może komu dziwnem się wyda, ale tak jest, a przyczyny różnicy dwóch zupełnie jednakowych i równych dróg są następujące: Na jarmark chłop



jedzie rano, z jarmarku wraca wieczorem; na jarmark jedzie trzeźwy, z jarmarku podcięty; na jarmark spieszy się i nie wstępuje do karczemu przydrożnych, z jarmarku nie ma potrzeby się spieszyć i może wstępować gdzie zechce. Nikt mu też nie broni nocować w rowie przydrożnym, lub znaleźć sobie inny na świeżem powietrzu przytułek.

Oto są powody, dla których, wbrew logice, ale zupełnie zgodnie z rzeczywistością, jedna i ta sama droga może być raz dłuższą, raz krótszą.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### O bydleciu mądrym, o dziadzie hardym, oraz o dwóch pannach urodziwych.

Jeżeli kto wyobraża sobie, że na jarmarku w Czarnemłocie bywają tylko ludzie z tego mizernego świata, który oczami naszemi widzimy, na którym żyjemy i handlujemy, ten jest w błędzie i znajduje się od prawdy tak daleko, jak dajmy na to miasto Czarnemłoto od miejsca, na którem ongi wznosił się gród rozpusty — Sodoma.

Że nietylko zwyczajni ludzie bywają na jarmarkach, o tem dają świadectwo z jednej strony uczeni mężowie, z drugiej zaś nieokrzesani prostytutki, co jest wymownym a niezbitym dowodem prawdy.

Można w tym razie powiedzieć, że prawdę, o której mówimy, widzący widzą, a ślepi ją namacali.

Jest niedaleko od Czarnemłota nieduże, ale bardzo sławne miasteczko Kopytków; w niem mieszka pewien mąż sprawiedliwy i uczony, do którego

się tysiące ludzi zjeżdża, głośny na dalekie, dalekie okolice — rabi Chaim. On wie dobrze, kto bywa na jarmarkach i jakim towarem handluje.

Gdyby kto miał szczęście być dopuszczonym przed oblicze rabi Chaima i usłyszeć słowa, które niekiedy z ust swoich, niby rajske ptaki ze złoconej klatki, wypuszcza, dowiedziałby się wielu a wielu ciekawych, a nieznanych rzeczy: Usłyszałby, że na tym naszym świecie znajduje się drugi jeszcze świat, zaludniony przez istoty niewidzialne gęściej, niż największe miasto. Są między niemi złe i dobre, pomocne i psotne, przyjazne i wrogie, a skoro są na świecie, to oczywista rzecz, że bywają i na jarmarkach, bo któżby im mógł tej przyjemności zabronić? Ale nie trzeba szukać aż tak wielkiej powagi, jak rabi Chaim z Kopytkowa, gdyż każdy najprostszy Żyd wie o tem, że na jarmarkach w Czarnembłocie bywa wielki miłosiernik prorok Eliasza i w ten lub inny sposób nastrecza ubogim Żydkom sposobność do zarobienia, aby mieli z czego żyć i żywić liczne potomstwo; wie również, że bywają duchy dobre i złe; wie, że w bezmyślnych zwierzętach, w koniach, bydło, w drobiu siedzą duchy zmarłych ludzi, że istnieją one nawet w przedmiotach wartwych, jak nap. w suchych drzewach i kamieniach przydrożnych.

Ciemny i nieokrzesany naród, chłopi, niezdolni do poważnego myślenia i zastanawiania się nad zagadnieniami świata, także mają o złych duchach pojęcie. Wiedzą oni, że o północy przeszkadzają one na groblach, koło mostów, na drogach rozstajnych i czynią różne psoty niegodziwe.

Waszązek, chociaż nie zaznał w swoim życiu i nie zazna do śmierci smaku mądrych ksiąg, i chociaż z drugiej strony, nie jest tak bezwzględnie nieokrzesany, jak naprzykład Michał Rokita, znał się

jednak cokolwiek na duchach i miewał z nimi nieraz do czynienia.

Najczęściej spotykał ich, powracając z jarmarku.

Opowiadać o tych przygodach nie lubił, ale ludzie wiedzieli, że je miewał; świadczyło bowiem o tem zabłocone ubranie, czasem guz na czole, lub siniaki pod okiem. Po załatwieniu interesu z Żydami i zakupieniu kilku drobnych sprawunków, Waszązek powrócił jeszcze pod „Łabędzia“ i tam zabawiał się w godnej kompanii przy butelce.

Trwało to może do jedenastej w nocy. Dokładnie tego Waszązek nawet po gwiazdach wymiarkować nie mógł, gdyż te, jak na złość, rozruszały się owej nocy na firmamencie, akurat, jak Żydzi na jarmarku.

Chociaż Waszązek miał wóz kuty i litry wyplatane, które wyglądały — pisz, maluj — jak bryczka, jednak na kołach jeździć nie lubił i najczęściej podróżował wierzchem, na starej, gniadej kobyle. Była to szkapa własnego chowu Waszązka, znała swego pana i słuchała go, jak pies. Waszązek nie sprzedałby jej nawet za duże pieniądze, bo też było to bydlatko wielce mądre i na wszystkie sposoby wypraktykowane.

Waszązek umiał cenić jej przymioty i wiedział, że lepszej szkapiny dla siebie nie znajdzie. Istotnie była ona jakby stworzona dla niego.

Słusznie powiedział ongi pewien chłop, że „in-sze bydłę, chociaż nie potrafi przemówić, ma jednak więcej rozumu, aniżeli niektóry człowiek“.

Zdanie to możnaby doskonale do szkapy Walentego Waszązka zastosować.

Do drogi tak była wypraktykowana i widząca, że czy w zaprzęgu, czy pod wierzchem, wśród nocy

najciemniejszej, stąpała tak pewno i śmiało, jakby w samo południe. Wasążek mógł spać na wozie doskonale, gdyż pewny był, że szkapa nie zabłądzi i że go do rowu nie wrzuci.

Przed sądem gminnym zawsze stawała, jakby wiedząc, że jej pan ma ciągle do tego domu interesa; zatrzymywała się również przed każdą karczmą. Jeżeli Wasążek zeszedł z wozu na rozgrzewkę, czekała spokojnie, dopóki nie wyjdzie; jeżeli zaś nie zsiadał i spał, stała przez jakąś chwilę i wlokła się w dalszą drogę.

Do pastwiska bydłatko było jedyne; zawsze znalazła drogę do cudzej koniczyny lub owsa, ale za najmniejszym szmerem, dosłyszawszy zdaleka odgłos kroków ludzkich, wynosiła się pocichutku na swoje miejsce i szczypała chudą, ale Wasążkową trawkę, najlegalniej i bez obawy, że jej kto jakąś przykróść wyrządzi.

Nie było wypadku, żeby ją złapano w szkodzie, a przecież wyglądała nieźle, chociaż jej skąpy Wasążek cukierkami nie pasł.

Na noclegach i popasach, w cudzych stajniach i zajazdach umiała się doskonale zdjąć z uździenicy i powyjadać obrok innym koniom, a sprawowała się przytem tak cicho i spokojnie, że żaden furman się nie obudził i malwersacyi nie spostrzegł.

Pożywiwszy się, jak należy, wracała na swoje miejsce i albo kładła się na słomie, albo też stała spokojnie, ze łbem nisko, do samej ziemi spuszczonego, apatyczna, jakby jej życie obrzydło.

Ogromnie zaradne bydłatko!

Potulna i spokojna wobec Wasążka, Wasążkowej i małych Wasążczaków, które najbezpieczniej na niej jeździły, względem obcych ludzi była niezmiernie harda i nieprzystępna.



Gdy się do niej kto zbliżał, tuliła uszy i wyszczerzała ogromnie żółte zęby, z wyrazem wielkiego niezadowolenia.

Gdy raz w nocy złodziej zakradł się do stajni i chciał ją uprowadzić, tak go pogryzła i kopytami potłukła, że przez kilka tygodni leżał i ledwie się wylizal, tembardziej, że i Wasążek, którego hałas w stajni przebudził, nakładł mu także porządnie.

Od tej pory już się złodzieje nie kusili o szkapę.

Ale wszystkie te przymioty, które wykazywała jako szkapa zaprzężna w drodze, zaradna w cudzej stajni i na pastwisku, potulna w domu, energiczna wobec obcych, były niczem z przymiotami jej, jako wierzchówki.

Zdaje się, że Wasążek część własnej fantazyi jej odstąpił, bo gdy jej żypie i słomę z ogona wyskubeł, gdy ją nieco rękawem wygładził, a stare siodliśko na nią włożył, nabierała takiej zawadyackiej miny i fanaberyi, że trudno było ją poznać.

Od Wasążkowej posiedzialności do figury za wioską niosła łeb wysoko, potem spuszczała go znowuż, ale niechno do innej wioski wchodziła, znów była fantazyja okrutna i mina.

I Wasążek się wtedy pod bok podpierał, czapkę na bakier przekręcał i paradował tak, aż chłopci przystawali, mówiąc:

— Grosiwa wiele nie ma, ale miniasty od stu dyabłów!

Z iluż to przygód niedobrych wyratowała Wasążka wierna szkapa!

Szlachciura gorący był, do zaczepki skory, do bójki jeszcze prędszy, to też trafiało się czasem, zwłaszcza, gdy się na kilku rzucił, że musiał zmykać, aby kości salwować. W takich zdarzeniach, skoro tylko szkapiny swej dopadł, był bezpieczny



zupełnie. Nieraz gonili go i na dobrych koniach, ale gdzież tam! Szkapą rwała, jak wichur, grudy ziemi wyrzucając z pod kopyt.

Waszątek wówczas pochylał się tak, że jego konopiaste wąsiska splatały się niemal z rozwianą grzywą wierzchówki i wykrzykiwał co chwila:

— Hulaj, starucha!

I starucha hulała też, hulała bez pamięci. Mogło się zdawać, że ją szła jakiś ogarnął.

Rowy, wyrwy, zagony, nic nie znaczyły dla niej; pędziła, jak wichur, dysząc ciężko, pędziła do-tąd, dopóki tylko mogła.

Potem zwalniała bieg stopniowo, uspakajała się, aż wreszcie, ciężko robiąc bokami, stawała.

Wówczas Waszątek napominał ją łagodnie i ostrzegał:

— A sprobuj-no i ochwac się, starucho, obaczysz, zaraz Żydowi cię sprzedam!

Nie ochwaciła się, zdrowie miała żelazne i trwałość niespożyta.

Poczciwe bydło. Siedmioro źrebiąt miał od niej Waszątek, a wszystkie pięknie się wychowały i za dobre pieniądze do ludzi poszły. Pamięta je Waszątek dobrze, że wszystkie były gniade, jako i matka, łyse, jako i matka, z pończochą na lewej nodze zadniej, też jako i matka.

Jeden tylko był odmieniec i miał łeb, jak latarnie, całkiem biały, ale swoją drogą natura w nim była poczciwa; do roboty nie zanadto ciekawy, do żarcia jedyny i przez to właśnie zawsze gładki i gnata-mi nie świeci. Doskonały koń, kupił go ksiądz z Zimnej Woli i nie wstydzi się nim jeździć w pojedynkę, chociaż osoba znaczna i kanonik.

Starucha wiedziała zawsze, kiedy Waszątek

jest trzeźwy, a kiedy pijany, boć się to i szlachcicowi, odpuść mu Panie, zdarzało.

Gdy trzeźwy był, szła pod nim równo i śmiało; gdy pijany, dreptała drobno, podbiegając bokiem to na prawo, to na lewo, stosownie do tego, w którą stronę się szlachciura przechylał i tym sposobem podtrzymywała go na sobie, aby nie spadł.

Ktoby widział w nocy Wasążka, powracającego z jarmarku na swej szkapie, idącej drobnutkiem kroczeniem, zbaczającej co chwila to na prawo, to na lewo, mógłby wziąć jeźdźca i konia za jedną istotę i pomyśleć, że ma przed sobą dobrze podchmielonego Centaara.

Tym razem Wasążek był dobrze cięty, ale nie drzemał, bo mu nowa sprawa na to nie pozwalała. Myślał o niej, miał już potrzebne na nią pieniądze i rozkoszował się przedsmakiem tańca, jaki z sąsiadem rozpocznie.

Droga ciągnęła się przez niewielką groble, przerzynał ją rów nie głęboki, a za nim rzucony był mostek z balików, nawpół spróchniałych, jak klawiszowe ruchomych.

Właśnie do tego mostku dojeżdżał Wasążek, a tak się myślą w swoją uciechę spodziewaną zagłębił, że aż głośno mówić zaczął:

— Będę tańcował — rzekł — o! będę tańcował!

Nagle, niewiadomo skąd, w ciemności nocnej, odezwał się głos gruby, ochrypły, jakby z pod ziemi wychodzący:

— Łżesz, Walenty, bo nie będziesz tańcował!

Szkapa stanęła, jak wryta, szlachcic narazie zorientować się nie mógł, co się stało, kto do niego przemawia. Uczuł, że mu się jakoś zimno robi, ale przez wrodzonego ducha przekory, krzyknął:

— Otóż będę!

— Nie będziesz! — odezwalo się znowuż z pod ziemi.

— Ktoś ty? — zawołał szlachcic, czując, że mu się czapka na głowie podnosi.

Zamiast odpowiedzi rozległ się jakiś śmiech dziwny, nieludzki, w którym słychać było, jak gdyby wycie wilka, głos puszczyka, a jednocześnie ogromna jakaś figura ukazała się tuż przy drodze.

Musiało w niej być coś osobliwego i nadzwyczajnego, bo szkapę drgnęła i rzuciła się w bok tak nagle, że Waszązek o mało z siodła nie wyleciał.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał i uderzył szkapę z całej siły prętem.

Starucha chrapnęła tylko, rzuciła się naprzód, jak szalona, nie drogą, ale przez podorywkę, przez ściernie, przez łąkę; pędziła, jak wicher, jakby przez wilki ścigana.

Waszązek zląkł się bardzo, ale co dziwniejsza, że przestraszyła się także i szkapę.

Wysoka postać, która niespodziewanie ukazała się jak gdyby z pod ziemi, ją, tę tak spokojną kobylinę, przejęła trwogą — to też choć Waszązek nie krzyknął na nią: „hulaj starucha!“ — pędziła, jak wicher, bez względu na ciemność i na nierówność gruntu.

Szlachcic przynaglał ją jeszcze do biegu.

Tajemnicza postać wybuchęła śmiechem.

— Dobrze ci tak — rzekła — jałmużny ubogiemu nie dałeś i jeszcześ mnie zdyfamował brzydkim słowem, mnie! Ho, ho! jeszcze ja cię nieraz nocną porą tak nastraszę, że nie będziesz wiedział, którądy uciekać. Mnie dyfamować, mnie, Błażeja Pokrzywę! Mnie, którego na dziesięć parafij wkoło dziadowskim królem zowią? Ja na jarmarkach pierw-

szy, ja na odpustach pierwszy, ja na Zaduszkach pierwszy; ja sto pieśni znam dziadowskich, a jedna nad drugą dziwniejsza; ja dziesięć głosów różnych dobyć potrafię, a jeden nad drugim silniejszy; ja wiem, co przede dworem zaśpiewać, co przed chałupą, co przed kościołem, co przy cmentarzu, a co na jarmarku pasuje. Ja nie przybędą z końca świata, ani nie kaleka z wypadku, ani chleba z biedy proszący — ja dziad z dziada pradziada rodzony; mój ojciec dziadem był, a matka też z dziadowskiego rodu; jeszcze panną była, a już za babę chodziła po świecie. I on mi dyfamację czyni!

Odsapnął i usiadł na mostku, z pod którego był wyszedł. Z gniewu widocznie jeść mu się zachciało. Zapuścił rękę w sakwę i szukać zaczął, mówiąc do siebie półgłosem:

— Naród jest miłosierny, daje chleb i trojaki... Insza baba i jajko do garści wciśnie, i okrasy nie pożałuje, a za zieleń dobre od słabości, za zamówienie, za odczynienie, za każdą przysługę zapłaci. Dobry i miłosierny naród, jałmużnę świętą daje i ubogie wspiera. Trafi się i taki Waszątek, coby i psu z gardła wyciągnął, trafi się odmieniec, dusza zatracona, ale rzadko...

Brzękło coś w torbie, flasza z gorzałką zapewne; dziad ją do ust chciwie przyłożył i ciągnął długo, potem rozmaite wiktuały wydobywał i jadł powoli.

Świt przy tej czynności go zastał. Cienie nocy przeredzać się zaczęły i pierzchać; można już było widzieć drogę i mostek na niej, przysadziste grusze polne, co się rozsiadły na miedzach, a w oddaleniu kilkanaście wysokich topoli, które wyglądały niby smukłe wieżyczki.

Dziad podniósł się.



Był to chłop dużego wzrostu, barczysty, z miny raczej na zbójcę, niż na ubogiego żebraka-kalekę wyglądał. Piwne, błyszczące oczy groźnie patrzyły z pod brwi krzaczastych, czarnych, jak smoła. Długie włosy szpakowate, spadały mu na ramiona, broda aż na piersi.

Utykał trochę na prawą nogę i o kuli chodził; właściwie jednak nie była mu ona potrzebna, chyba dla dziadowskiego *decorum*. Gdy go nikt nie widział, Błażej niósł tę kulę pod pachą, lub na ramieniu.

Oprócz kuli nosił z sobą i kij dziadowski, długi, sękaty, zakrzywiony w grubszym końcu, a w cieńszym dobrze okuty, powyżej okucia zaś obciągnięty skórą z jeża. Z takim koszturzem w rękę mógł dziad między najbardziej złemi psami przechodzić; kolczasta skórka jeża potrafiła je utrzymać w przyzwoitej odległości. Zresztą ów kosztur potrzebny był raczej dla zachowania tradycyi dziadowskiej, aniżeli dla obrony. Błażej Pokrzywa tak był dobrze w całej okolicy znany, że i psy wioskowe czekały na niego jedynie ze zwyczaju i z poczucia psiego obowiązku.

Szczały, gdy szedł, a gdy usiadł przed którą chałupą dla wypoczynku lub gawędki, gdy świeży, pachnący chleb zajadał, to najzawziętszy Burek albo Łysek gospodarski siedział przy nim spokojnie, patrzył mu w oczy, a nawet i łasił się do niego.

Nie przeszkadzało mu to później z ujadaniem groźnem odprowadzić dziada aż do następnej chałupy.

Błażej miał dla wszelkich form poszanowanie i tem lubił się szczycić, że nie jest ladajaki żebrak, ale dziad zacny, według wszelkiej formy.

Oprócz kosztura z jeżową skórką, miał skorupkę żółwia, w której, gdy pod kościołem siedział,



zbierał grosze; miał dwie sakwy płócienne, łatane gęsto, chodaki wykrzywione i dziurawe, sukmanę stara, jak świat, przepasany był pasem rzemiennym, wytartym aż do białości.

Na szyi nosił różaniec z wielkich drewnianych paciorków, zakończony krzyżem mosiężnym.

Błażej był to dziad posesyonat, nie włóczęga bynajmniej, lecz osiadły na swoich własnych śmieciach. Mieszkał w Zimnej Woli, wsi kościelnej, gdzie miał niedaleko cmentarza własną lepiankę po ojcu.

Stała ona na gruncie dworskim, ale nikt dziada o tytuł własności nie pytał i używalności mu nie bronił.

Oddawna w zwyczaj weszło, że w lepiance dziad siedzi — to i siedzi. Nie przeszkadzało to nikomu. „Dziadowską budą“ ta posesya się zwała, a sołtys z Zimnej Woli, setnie stary chłop i dawnych rzeczy świadomy, opowiada, że niegdyś, jak wielka zaraza na świecie panowała i grabarz nie mógł sobie z kopaniem grobów dać rady, zgodzono mu do pomocy dziada. Ten, czy dlatego, że chromał i chodzić trudno mu było, czy też, że na wsi go na komorne wziąć nie chciano, budę sobie tuż przy cmentarzu sklecił.

Zaraza przeminęła, a dziad został, budę fundamentalnie wzmocnił, gliną i ziemią obrzucił, tak, że trawa na niej porośla.

Z czasem zrobił sobie i drzwi zamykane, i okienko, i komin, a jednego razu, powróciwszy z włóczęgi kilkotygodniowej, babę szkaradną z sobą przyprowadził i dzieciaka też kulawego, jak sam.

Zaczęli ludzie na to sarkać, że zgorzenie się dzieje tuż przy samym cmentarzu, ale dziad gorszących się brzydkim słowem zdyktował i złe języ-

ki przytarł, gdyż papierami się wywiódł, jako baba jest jego prawowita żona, a chłopiec prawowity syn, ochrzczony aktualnie, że po imieniu mu Błażej, a po nazwisku Pokrzywa.

Wójt się w tę sprawę wdał, papiery obejrzał, dziada z familią zapisali do ksiąg i już pozostał on tak przy wsi, jako rękaw przy kapocie, lub guzik przy innym stroju.

Czas uchodził, Błażek podrastał i w dziadowskiem rzemiośle porządnie był chowany, aż nareszcie stara Pokrzywina zmarła, a Pokrzywa, jak się w świat po żebraniu puścił, tak więcej go oko ludzkie nie widziało.

Pewnie zmarł gdzie dziadzisko i ziemię gryzie.

W lepiance, w budzie dziadowskiej, Błażej sam pozostał, a że to tak niby jakby na prawie sukcesyi, więc mu nikt przeszkody żadnej nie czynił i siedzi po dzisiejszy dzień spokojnie.

Siedzi, ma się rozumieć, gdy przyjdzie; ale więcej włóczy się po okolicy, na odpusty, na jarmarki i grosze do kabzy, a chleb do torby zbiera, jak dziad.

Baby nie ma. Sam sobie jeść gotuje, sam sobie niekiedy łachmany pierze; w swojej wsi o jałmużnę nigdy nie prosi, chyba, że mu kto z własnej chęci grosz do garści wciśnie, to weźmie, ale nie darmo, bo zaraz, na poczekaniu, pacierz zmówi, żeby nie myśleli ludzie, że jest jako inni dziadowie, co to i pieniądze wezmą i nawet „Bóg zapłać“ nie rzekną.

Kapnie mu też czasem co nieco za suszone zioła, których w lepiance ma zawsze dość, na różne słabości skutecznych.

Taki to jest ów Błażej, co Wasążka przestraszył, ów dziad posesyonat, dziad z dziadów.

Podjadłszy sobie dobrze na mostku, Błażej wstał i, nie spiesząc się, poszedł drogą, potem ścieżką wydeptaną, co się wśród pól wila, niby szara tasiemka; szedł ze dwie godziny, aż wyszedł pod samą Brzozówkę, pod folwark.

Właśnie przechodził koło dworu, otoczonego dużym, osztachetowanym ogrodem.

Słońce już weszło, na dziedzińcu między budynkami był ruch, żóraw od studni skrzypiał przeciągle, fornale konie poili.

Koło sztachet ogrodowych, od drogi tylko rowem oddzielonych, dobył Błażej głosu wielkiego i stosownie do wczesnej pory dnia, zaczął śpiewać z pełnej piersi:

„Kiedy ranne wstają zorze“...

Ledwie prześpiewał jedną zwrotkę, z po za leszczyny, malin, agrestowych krzaków, wychyliła się jasna postać i ktoś dźwięcznym, miłym głosem zawołał:

— Dziadku, dziadku!

Błażej się obejrzał, za sztachetami stała dziewczyna młodziuchna, ładna, a świeża, jak poranek, który na nią blaski swe rzucał.

Ubrana była w jasną sukienkę, włosy miała uczesane gładko i w jeden wielki warkocz splecione. Za nią ukazała się druga, tak samo ubrana i bardzo do pierwszej podobna.

Błażej czapkę zdjął i do samych sztachet się zbliżył.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł. — Dzień dobry panienkom!

— Dzień dobry, dziadku! A skąd Pan Bóg prowadzi tak rano?

— Na jarmarku się było wczoraj w Czarnem-błocie, panienko, na jarmarku, podług dziadowskie-

go rzemiosła, które cięższe i trudniejsze, a mało in-  
tratniejsze, niż insze szewstwo. Wieczorem się wy-  
szło z Czarnegołota, nocą się cokolwiek na gościń-  
cu przespało, pod mostem, a potem się poszło i idzie  
się oto przed siebie.

— Wstąpcie do kuchni, barszczu wam dadzą,  
a i chleb jest świeżutki, wczoraj pieczony.

— Bóg zapłać! Stroi panienczkę kwiatek,  
a jeszcze piękniej stroi miłosierdzie dla ubogiego.  
Niechże Bóg wynagrodzi, niech da panienom zdro-  
wie dobre, fortunę wielką i mężów, każdej takiego,  
jako sama sobie uwidzi i upodoba...

— Idźcie do kuchni.

— Pójdę, panienko, podjem sobie i modlić się  
będę do Świętej Zofii, patronki starszej panienki, i do  
Świętej Jadwigi, patronki młodszej panienki, aby  
wyprosiły wam szczęście i błogosławieństwo Boże.  
Podjem sobie, pomodłę się i pójdę dalej w świat.

— A w którą stronę, dziadku, pójdziecie?

— Gdzie oczy wskażą, a nogi poniosą. Powłó-  
kę się, kusztykając, przez las, bo między drzewiną  
chłodniej i precz, precz, lasem do Zimnej Woli na  
noc ściągnę do domu, jeżeli zdążę...

— To wam droga wypadnie przez Majdan?

— Dziadowi, panienko, rozmaicie drogi wyna-  
dają, czasem przez Majdan, czasem i nie przez Maj-  
dan, ale dziś musi mi wypaść przez Majdan.

— A to dlaczego?

— Dla panienki. Chociaż ja prosty dziadzisko  
i nieuczony, ale zawsze zmiarkuję, co kiedy i jak  
uczynić, żeby za dobre słowo i za jałmużnę świętą  
według swojej możności odsłużyć.

— Nie rozumiem ja, dziadku, co wy mówicie.

— Oj, dobrze panienka rozumie, tylko się  
przyznać nie chce.



Panna Zofia zarumieniła się, jak dojrzewająca wisienka, siostra jej zaczęła się śmiać, a dziad prawił dalej:

— Dziś mi droga przez Majdan wypadnie, panienko, sprawiedliwie przez Majdan, a coby panienska miała tam komu nakazać, to nakażę, a komuby się kazała kłaniać, to się pokłonię.

— Powiedzieć nie mam nic, a co do pokłonięcia się, to niech się dziadek pokłoni od nas pani Zawadzkiej!

— Dobrze, panienko, pokłonię się, a jej synkowi to pewnie nie trzeba?

— Dlaczegoż?

— Tedy pokłonić mu się od panienki?

— Po cóż?

— Dlaczegoż? Po cóż? I pokłonić się — i nie kłaniaj się... Mój dziadowski rozum nie zmiarkuje.

— Miarkujcie sobie, jak chcecie, ja przecież nie mówię ani tak, ani owak.

— To właśnie najlepiej, panienko.

— A to dlaczego?

— Bo ja, podług swego pomiarkowania, powiem mu i tak i owak.

— Tylko bardzo was proszę, nie powiedzcie za dużo. Ja wam nic nie polecam i do niczego was nie upoważniam. Pan Stanisław, jeżeli chce, może do nas przyjechać, zna drogę; że już dwa tygodnie nie był, to jego wola. Nikt tu nie tęskni z tego powodu i nie płacze, ale jeżeli jego mama, pani Zawadzka przyjedzie, będziemy bardzo kontente. Niech jej to dziadek powtórzy, niech powie, że tęskno nam za nią, że przyjechałybyśmy do niej, ale teraz czas taki, w gospodarstwie zajęcie, że niema kiedy, i ojca o konie prosić nie śmiemy. Pani Zawadzkiej łatwiej, niż nam, na leśniczówce gospodar-



stwo maleńkie, oddalić się można, a pan Stanisław dla mamy koni żałować nie będzie. To tylko, dziadku, powiedzieć, nic więcej. Nic a nic, ani jednego słówka, bo zagniewałabym się na was strasznie.

— Dobrze, panienko, dobrze, Błażeja uczyć nie trzeba, powie on wszystko pani Zawadzkiej, a gdyby jej syna w lesie spotkał, to już na Majdan nie pójdzie, tylko lasem, wprost koło jeziora, do Zimnej Woli. Com miał matce powiedzieć, to powiem synowi, on zaś jej powtórzy akuratnie, do słowa. O, powtórzy, to bardzo akuratny panicz.

— Skąd wy, dziadku, wiedzieć możecie, czy on akuratny, czy nie?

— Dużo się, panienko złocista, po świecie chodziło, dużo się widzi i słyszy, więc też i niejedno się wie. Ludzie nieraz mówią, na dziada nie zważają, a dziad siedzi w izbie, albo koło izby i słyszy. A wie panienska, co to ucho dziadowskie?

— No, ucho, jak ucho.

— Oj nie, panienko złota, nie; różne są na świecie uszy, a wcale niepodobne jedne do drugich. Insze chłopskie, insze żydowskie, a dziadowskie jeszcze inakwsze.

— Jakież więc?

— A właśnie, że rychtyk, jak dziadowska torba — głębokie. Co tam wpadnie, to już i siedzi, bo dziad rzadko kiedy torbę wytrząsa. Panienczki śmieją się z dziada...

— Ależ nie.

— Wiem ci ja to, wiem, bom trochę widzący.

— Jakto, widzący?

— Skoro trzeba urok odczynić — odczynię; zamówić bolączkę — zamówię; co w człowieku siedzi, przeniknę, i oj, panienko, jakie kto pomyślenie ma — zgadnę. <http://rcin.org.pl>

- Nie może być!
- A no, niech panienka spróbuje.
- Jakże mam spróbować?
- Powiedzieć, co panienka myśli?
- Powiedzieć.

— Panienka myśli tak: dobrze, że dziadzisko idzie na Majdan, ale szkoda, że jutro nie będzie tędy powracał. Otóż, na złość będę jutro powracał, jak się tylko jasne słońce ukaże.

Widocznie dziad odgadł myśli dziewcząt, gdyż roześmiały się głośno i uciekły w ogród, niby sarenki spłoszone.

Błażej brodę pogładził i powlókł się do kuchni na barszcz.

---

## ROZDZIAŁ VII.

**Słówko o dzierżawcy z Brzozówki, jego siostrze Gertrudzie, o soku wiśniowym i asygnacyi na drzewo.**

O dzierżawcy Brzozówki kapitaliści czarnobłoccy rozmaicie mówili, wogóle nie przypadał on im do gustu. Zboża na pniu nigdy nie sprzedawał, pieniędzy na zapłacenie raty dzierżawnej nie pożyczal, a kiedy przyszło do jakiej transakcyi, targował się o każdy grosz, czasem kłął, a bywały i takie zdarzenia, że porządnego kupca wyrzucał za drzwi.

Tego rodzaju ludzie nie są bardzo przyjemni w obejściu, ale za to pewni w interesie; są pewni w interesie, ale zarobić wiele na nich nie można.

U takiego człowieka sto korcy znaczy zawsze sto korcy, a dajmy na to ósmy grudnia jest bezwarunkowo ósmy grudnia, choćby tego dnia było na-

wet trzęsienie ziemi. Jest to bardzo ładnie, ale niekorzystnie, nie można bowiem dostać ani grosza za uchybienie terminu, ani kilku korcy zboża za poczekanie, ani nawet głupiego cielęcia, lub gęsi, za grzeczność. Gdyby wszyscy ludzie byli tacy, wówczas delikatność kapitalistów nie przynosiłaby wcale procentu.

W Czarnembołcie wiadano dobrze, że Brzozówka od dwudziestu kilku lat jest w dzierżawie pana Jacka Boreckiego i będzie w niej dotąd, dopóki pan Jacek Borecki zechce, bo nikt z okolicznych dzierżawców rat tak regularnie nie płaci i nikt tak nie gospodaruje porządnie, jak on.

Mówią, że pan Borecki ma pieniądze; finansiści czarnobłoccy obliczyli, że kto ma takie dochody duże i takie wydatki małe, jak on, ten musiał przez dwadzieścia kilka lat uskładać przynajmniej kilkanaście tysięcy rubli.

Nie można było jednak dojść, gdzie je trzyma i co z nimi robi; nawet znany z dyplomatycznych zdolności Dawid Śliwka nie mógł tego wy badać.

Posyłano na zwiady młodego Żydka, aby, pod pozorem stręczenia służby, zamówił się do dworku w Brzozówce i wymiarkował gdzie co może być, ale wyprawa się nie powiodła.

Pan Jacek, człowiek z natury podejrzliwy, spotkawszy Żydka na dziedzińcu, sam go zaczął badać i dopytywać, a ponieważ młodzieniec plątał się w odpowiedziach i nie umiał objaśnić, po co właściwie przyszedł, szlachcic kazał go za bramę wyprowadzić, zapowiedziawszy mu przytem, że jeżeli się jeszcze raz pokaże w folwarku, to go grubsza nieprzyjemność spotka.

Mógłby kto mniemać, że Żydek posłany był w złych intencjach; jest to pogląd błędny i finansi-

stom czarnobłockim uwłaczający: jeżeli chcieli wiedzieć, czy pan Jacek ma pieniądze, to tylko jedynie dla zaspokojenia ciekawości.

Młodemu żydkowi powiedziano, że jest głupi i że przez niezręczne branie się do rzeczy wzbudza tylko niechęć do całego miasteczka.

Młodzieniec odrzekł i dość nawet opryskliwie, żeby na zwiady udał się ktoś mądrzejszy, jeżeli, notabene, znajdzie się taki w Czarnembłocie.

Dawid Śliwka nic nie mówił, ale wyzwanie wziął do serca i postanowił przy pierwszej sposobności gruntownie rzecz zbadać. Jakoż jednego dnia przyjechał do Brzozówki wielce zaaferowany, spocny, czerwony na twarzy i oświadczył służbie, że się musi widzieć z panem Boreckim, w nadzwyczaj ważnym i pilnym interesie.

Powiedziano mu, że pan Jacek jest w polu pod lasem, gdzie jęczmień koszą.

Dawid nie czekał, aż wróci, lecz siadł na biedkę i okładając konia biczem, popędził galopem na pole.

Pan Jacek dojrzał go zdaleka i poznał, a widząc, że mu jakieś nadzwyczajne znaki Żyd daje, opuścił robotników i zbliżył się do samej drogi.

Dawid zeskoczył z biedki.

— Panie — rzekł dysząc — wielmożny panie! Złote jabłko wiozę, na moje sumienie, złote jabłko!

— To je sobie wieź — odpowiedział obojętnie szlachcic — cóż mnie do tego?

— Jakto co? Ono jest dla pana; ja do pana jadę naumyślnie, ja konia zabijam, żeby nas kto nie ubiegł.

— Nas?

— Ma się rozumieć, przecież i ja przytem coś zarobię.

— Mów-no po ludzku, bo ja przy robocie je-



stem, a romansować z Żydami nie lubię; chcesz co kupić — kupuj, płać, zabieraj i wynoś się, gdzie pieprz rośnie.

— Po co pieprz? Pan dobrodziej jest bardzo gorący.

— Bądź zdrow, szczęśliwej drogi życzę!

To mówiąc, zwrócił się i ku robotnikom zmierzyl.

— Panie, proszę pana! — wołał, biegnąc za nim, Dawid. — Ja panu do ręki majątek wielki daję, pan może jeszcze sto lat żyć i drugie takie zdarzenie się nie trafi. Niech pan dobrowolnie szczęścia z rąk nie wypuszcza. Niech pan nie krzywdzi córek.

— Niech cię o moje córki głowa nie boli, to nie twoja rzecz. Co masz mówić?

— Zna pan majątek Tartaczek, o pięć mil za Czarnemłotem?

— Znam.

— Dobra w nim ziemia?

— Doskonała.

— I las jest...

— Przerzedzony.

— I łąki, aj, jakie łąki!! Oj, oj! żebym ja takie szczęście miał.

— Istotnie, wyborne!

Dawid przechylił głowę, przymrużył jedno oko i zapytał:

— Jak się wielmożnemu panu zdaje, czy za ten majątek można dać po tysiąc rubli za włókę?

— Bez namysłu można.

— No!—zawołał Dawid z tryumfem—to Tartaczek, choćby jutro, może być pański! Teraźniejszy dziedzic cokolwiek w interesach; jemu się przykrzy na wsi, chce zamieszkać w mieście, odpocząć — i dlatego sprzedaje z wolnej ręki. Trzeba zaraz dziś



na noc jechać, z dziedzicem porozmawiać, a pojutrze do hypoteki i koniec.

Pan Jacek uśmiechnął się pod wąsem i odrzekł powoli:

— Nie trzeba jechać dziś na noc.

— Jakto nie trzeba? — zawołał zaperzony Dawid.

— Bo nie. Ja nie kupię tego majątku.

— Nie kupi pan?

— Nie.

— Przecież dopiero co powiedział pan sam, że można dać cenę, jaką żądają bez namysłu.

— Rzeczywiście, że można.

— No, więc?

— Ale ja nie dam.

— Niech mi pan wytłumaczy, dlaczego? co w tem za feler jest?

— Są dwa, jak dla mnie: pierwszy, że nie mam chęci do kupna, drugi, że nie posiadam pieniędzy.

— Pan nie ma pieniędzy?

— Dziwi cię to?

— Ma się rozumieć. Jeżeli pan pieniędzy nie ma, któż je będzie miał w naszych stronach?

— To mi wszystko jedno; niech ma, kto chce!

Próbował jeszcze Dawid z różnych beczek, zachodził stąd i zowąd, ale to się na nic nie zdało.

Dzierżawca Brzozówki był taki zawzięty i zapracowany gospodarz, że myślą po za granice folwarku, pól i łąk bardzo rzadko wybiegał, cudzemi sprawami nie zajmował się wcale, bliższych stosunków prawie z nikim nie utrzymywał. Od świtu do nocy był on na polu, lub w stodole, wszędzie zajrzał, wszystkiego sam dopilnował.

Nie dziw, że w opinii kapitalistów czarnobłoc-

kich uchodził za zamożnego, jeżeli nie za bogatego człowieka.

Borecki był to mężczyzna wysoki, silny, imponującej postawy; rysy twarzy miał wyraziste, wąsy duże, szpakowate.

Owdowiał po kilku zaledwie latach pożycia małżeńskiego. Żonę, kobietę młodą, a bardzo dobrą i kochaną, zabrała mu w żaraniu młodości śmierć; pozostał sam z dwiema maleńkimi córeczkami.

Odczuł on stratę głęboko, a choć nie manifestował żalu i rozpaczy, znać jednak było po nim, że bardzo cierpi.

Powtórnie żenić się nie chciał, żeby zaś córeczki miały opiekę kobiecą, a dom gospodynię, sprowadził siostrę swą, pannę Gertrudę; ta Zosi i Jadwini matkę zastępowała.

Była to stara panna, kapryśna trochę, prędka, ale w gruncie bardzo zacna kobieta.

Zajmowała się dziećmi serdecznie, a gospodarstwem kobiecem zawzięcie, z energią niezrównaną.

Odrazu, od pierwszego dnia, w którym do domu swego brata przybyła, zażądała, aby wzajemny ich stosunek był określony jasno.

— Ty, panie bracie — rzekła — pilnuj swego, ja pilnować będę swego i nie przeszkadzajmy jedno drugiemu. Wiedz brat o tem, że rządzić lubię i potrafię, a jeżeli nie wyszłam zamaż, to tylko dlatego, żeby się pod władzę czyjąś nie poddawać.

— Tak, pani siostro — odrzekł Borecki — znam cię przecież od małego, bratem twoim jestem, a rodem kurki czubate..

— Rodem, panie bracie, rodem, tylko się nam jakoś nie szczęści.

Borecki westchnął, stara panna mówiła dalej:  
— Z pięciorga dwoje już nas tylko zostało: ja, rutkę sieję, a nawet teraz już nie sieję.

— Z własnej woli.

— Jak jest, to jest, dość, że jest. Zamaż nie pójdę, bom już z lat wyszła, a i ty, nieboraku, w małżeństwie szczęścia nie znalazłeś.

— Owszem, było...

— Tak, ale krótko.

— Tem większy żal i ból, pani siostrze — rzekł z westchnieniem. — Żeby nieboszczka była zła, przykra, dokuczliwa, to oczywiście nie uczułbym tak boleśnie tej straty; ale taka dobra, taka cicha...

Nie dokończył, oczy łzami mu zasłyły. Panna Gertruda wstała, zbliżyła się do brata i uścisnęła go serdecznie.

— Bracie — rzekła — dość! Wola Boga. On dał, On wziął. Tyś silny, przetrwasz. Za spokój zmarłej módl się, a na sierotki patrz, mój bracie kochany...

Był to jedyny wybuch czułości, na jaki sobie panna Gertruda pozwoliła. Otarła nieznacznie oczy i wnet przybrała dawny, szorstki nieco wyraz.

— Panie bracie — rzekła — przystąpmy do rzeczy. Wezwałeś mnie, żebym przyjechała do Brzozówki — jestem; żądasz, żebym była twoim dzieciom matką — będę; ale, przedewszystkiem musimy się rozmówić.

— O czym?

— Chcę wiedzieć, co mam tu czynić, co do mnie należy, na jakich nogach ja tu stanę? Niedługa to będzie rozmowa, parę słów. Zgodzisz się — dobrze; za godzinę już wszystko ujmę w ręce; nie zgodzisz — drugie dobrze, posiedzę do jutra i wracam.

— Ależ, siostrze...

— Zaraz, zaraz, braciszku. Najprzód chciała-  
bym wiedzieć, co myślisz: czy się ożenisz drugi raz,  
czy nie?

— Nie! — odrzekł z mocą.

— Teraz tak mówisz, ale za rok, za dwa, gdy  
pierwszy żal przeminie, możesz zdanie zmienić.

— Zapewniam siostrę, że nie zmienię. Sama  
powiedziałaś przed chwilą, że twardy jestem. Nie  
ożenię się nigdy.

— Dajmy na to, chociaż rozmaicie to bywa,  
panie bracie. Będzie, co Bóg da. Otóż naprzód,  
chciej wiedzieć, że pozostanę u ciebie tylko dotąd,  
dopóki się nie ożenisz. Gdy się to stanie, odjadę ja-  
ko niepotrzebna: niema bowiem takich dzieci, które-  
by potrzebowały dwóch matek, ani takiego domu,  
żeby musiał mieć dwie gospodynie.

— A więc pozostaniesz na zawsze.

— Od ciebie to zależy... Druga rzecz, co ja  
mam tu robić?

— No, jak w domu.

— Za pozwoleniem; mam się zająć dziećmi, to  
główna rzecz; zajmę się. Ale to mało. Obejmę cały  
zarząd domu i gospodarstwa kobiecego.

— Dobrze.

— Ale z warunkiem, żeby mi się pan brat do  
niczego nie wtrącał. Wolałabym Belzebuba zoba-  
czyć, aniżeli mężczyznę w kuchni. Pod tym wzglę-  
dem chcę sama być panią.

— Już nią jesteś, siostró — odrzekł z uśmie-  
chem Borecki — ja ci się wtrącać do niczego nie  
będę.

— Ma się rozumieć. Ty siej zboże i zbieraj po-  
sagi dla córek, a ja, jeżeli Bóg da doczekać, biorę  
na siebie wyprawy i kobiece gospodarstwo. Na to  
wystarczy. Zgoda?

— Zgoda.

— W takim razie niema co bałamucić; proszę o klucze i niech mi pan brat pokaże, gdzie co jest.

W godzinę później już panna Gertruda, w popielatej sukience, w czarnym fartuchu, z pękiem kluczów u pasa, chodziła po zabudowaniach; zwiedziła kuchnię, spiżarnię, piwnice, strychy, obory, chlewy, kurniki, ogród i ujęła żelazną ręką wszystko, co tylko do kobiecego gospodarstwa należy.

Na drugi dzień krzątała się już tak swobodnie, jak gdyby od wielu lat była w domu brata, już nic nie było dla niej obcem, ani nowem.

Służba odrazu poznała, z kim ma do czynienia i domyśliła się, że ta pani czasu tracić nie da.

Pan Jacenty miał zapowiedziane, że odtąd obiad ma być punktualnie o godzinie w pół do pierwszej i że spóźniać się niewolno nikomu, bez wyjątku.

Pracowali usilnie oboje, brat i siostra. On, zapewne w wielkiem zmęczeniu fizycznym chciał smutek swój zagłuszyć i uśpić, a ona z poczucia obowiązku, z przyzwyczajenia, z temperamentu — ruchliwego nadzwyczaj — swoje robiła.

Z dziećmi miała trochę kłopotu. Dziewczynki, przywykłe do pieśczoł matczynych, nie mogły odrazu przylgnąć do ciotki, szorstkiej w obejściu i surowej; ale z czasem i to przyszło. Bały się trochę, były posłuszne każdemu jej skinieniu, ale i pokochały ją także, może instynktem dzieciennym przeczuwając w niej istotę dla nich, po ojcu, najżyczliwszą i całą duszą im oddaną.

Brat z siostrą rozmawiali rzadko, chyba przy obiedzie lub kolacyi, o pogodzie i drobiazgach codziennego życia; tak zwane przez pannę Gertrudę „konferencye“ zdarzały się zaledwie raz na kilka lat.



Raz, naprzykład, dowiedziała się, że brat chce sprzedać zboże na zaspokojenie jakiegoś pilnego wydatku, a jej zdawało się, że lepiejby było powstrzymać się i na lepszą cenę poczekać.

Było to w czwartym, czy piątym roku pobytu jej w Brzozówce.

Kiedy się obiad kończył, rzekła:

— Panie bracie, chciałabym odbyć z tobą krótką konferencyę w cztery oczy.

On spojrział na nią zdziwiony.

— Sekret? — zapytał.

— Zapewne.

— A więc proszę, słucham, niechże pani siostra usiądzie.

— Nie usiądę — odrzekła — nie mam czasu na długie dysertacye, bo dzisiaj chleb się piecze. Słyszę oto, że bratu potrzeba pieniędzy.

— Tak jest.

— Podobno brat chce sprzedać zboże?

— Rzeczywiście.

— Teraz czas nie jest na to odpowiedni, lepiej będzie trochę poczekać.

— Zapewne, że tak...

— To dłaczegóż pan brat mi nie powie, że potrzebuje?

— Alboż pani siostra ma pieniądze?

— Ile bratu potrzeba?

— Pięćset rubli.

— Niechże pan brat siada i napisze rewers, jak należy, bo ja na piękne oczy nie dam Pieniądze zaraz przynieść.

Wyszła i za chwilę przyniosła żadaną sumę.

Borecki spojrział zdziwiony.

— Skądże to — zapytał — pani siostra przychodzi do takich kapitałów?

— Mój bracie — odrzekła — czy to z kur, czy z gęsi, to bratu wszystko jedno. Skoro są, brać, rewersik dać, a w terminie oddać. Idę już, bo tam z chlebem Bóg wie co mogą porobić.

Wzięła rewers ze stołu i wybiegła.

Druga, bardzo ważna „konferencya“, odbyła się, kiedy Zosia ukończyła dziesięć, a młodsza jej siostra, Jadwinia, ośm lat życia.

Wówczas panna Gertruda zapowiedziała bratu, że konferencya jest konieczna i że odbędzie się w niedzielę, wolnym czasem.

— Panie bracie — rzekła — dziewczyny nasze rosną.

— I zdrowo, dzięki Bogu!

— Co z niemi dalej robić?

— Pod jakim względem?

— Widzi brat, w bawełnę niema co owijać; nauczyłam je czytać, pisać, katechizmu i trochę rachunków, historyi. Więcej nie nauczę, bo i sama nie umiem, a choć tam jeszcze czegoś się za młodu uczyłam, to mi już wywietrzało z głowy. Cóż tedy pan brat myśli?

— Jakże pani siostra uważa?

— Ojciec ma pierwszy głos.

— Pani siostra jesteś dla nich matką, więc też masz głos.

— Chciałabym zasłużyć na ten tytuł. Otóż trzeba te dziewczyny jeszcze kształcić.

— Ale czego? gdzie? jak?

— Otóż w tem sęk.

— Możeby na pensję oddać?

— Co też pan brat mówi! Może jeszcze mają brzdąkać na fortepianie i paplać po francusku?

— Cóżby to szkodziło?

— A nie, panie bracie, jak cię kocham, to na

nic! Co je czeka? Gospodarskie córki wyjdą za-  
mąż za gospodarzy i czeka je praca. Z kim będą po  
francusku mówiły? Czy będą miały czas brzdąkać!  
Na nic to, panie bracie.

— Więc jakże?

— Ja uważam, że trzeba na kilka lat wziąć po-  
rządną nauczycielkę do domu.

— Cóż łatwiejszego?

— Chyba coś trudniejszego? Byle kogo nie  
chcę, a skoro mamy płacić, wiedzmy za co.

— To najlepiej będzie, jeżeli siostra sama po-  
jedzie do Warszawy i wybierze osobę wedle swego  
uznania.

— Ja do Warszawy! Ależ któż tu zarządzi?  
Kto się zaopiekuje dziećmi, dojrzy służby, dopilnuje  
porządku! Wy, mężczyźni, traktujecie to lekcewa-  
żąco, a to są, doprawdy, rzeczy pierwszorzednego  
znaczenia.

— Nie przeczę, uznaję to w zupełności, ale ty-  
dzień, nie wieczność. Ja dam baczość na wszyst-  
ko, a Michałowa, szafarka, jest, jak mniemam, ucz-  
ciwa kobieta i można jej zaufać.

— Zapewne, dopóki trzeźwa, jedyna baba, ale  
jak się dorwie do flaszki — przepadło. Ja toleruję  
i przebaczam, gdyż, na szczęście, nie pozwala ona  
sobie zbyt często, raz na kwartał zaledwie. Ale któż  
mi zaręczy, że podczas mojej nieobecności akurat  
taki fatalny termin nie wypadnie.

— Niech jej pani siostra zapowie.

— Nie na wiele się to przyda.

— Ja sam pilnować będę.

— Znam ja męskie pilnowanie. Nie, panie bra-  
cie, pilnuj tylko dzieci i miej na nie baczenie, reszta  
niech już tam. Pojadę i wyszukam, a wyszukam ta-  
ką kobietę, żeby dziewczątek wielkich a niepotrze-

bnych mądrości nie uczyła, bo, mojem zdaniem, pannie bracie, kobieta winna być przede wszystkim kobietą, a zwłaszcza wiejska kobieta. Niech ma w głowie, owszem, ale niech ma praktyczne wiadomości. Co do gospodarstwa, niech pan brat będzie spokojny: ja jestem ich guwernantką i zrobię z nich gospodynie wzorowe.

Po odbytej konferencji, ciotka Gertruda powiedziała Michałowej w cztery oczy bardzo pouczające kazanie o wierności, trzeźwości, sumiennem pełnieniu obowiązków, oraz przyobiegała, że za dobre zachowanie się czeka ją nagroda w postaci oryginalnego czepka z Warszawy, a za złe kara sromotnego wypędzenia na cztery wiatry i pozbawienia godności szafarki.

Baba, do łez wzruszona energiczną przemową, zaklęła się na wszystkie świętości, że żadnego trunku do ust nie weźmie i że żrenicy oka swego nie będzie strzegła lepiej, niż powierzonego jej dobra.

Na drugi dzień panna Gertruda pojechała. Po tygodniu powróciła i panienki miały nauczycielkę, Michałowa zaś czepiec ze wstęgami zielonemi, jak majowa sałata.

Trzy lata była nauczycielka w Brzozówce i uczyła dziewczynki, według programu bardzo skromnego, ułożonego przez ciotkę, a spełniwszy, co do niej należało, odeszła.

Czas zbiegał, dziewczęta rosły i pracowały pod kierunkiem panny Gertrudy, rosły, aż wyrosły na piękne, co się zowie, dziewczęta.

Były one, niby kwiaty polne, proste a wdzięczne, roztaczające dokoła urok młodości i świeżości wiosennej. Ktoby je chciał dokładnie odmalować, musiałby zamiast farb użyć blasków słonecznych, barw kwiecistych, rosy porannej, tchnienia wiatru



letniego, gdy się rozigra i z listkami na drzewach figluje. Obie były brunetki, o czarnych oczach, drobnych rysach twarzy. Opalone cokolwiek, ręce miały nie nadto delikatne i wypieszczone, ale zgrabne, ruchy bardzo zręczne, figurki ślicznie zarysowane.

Dobry humor nigdy ich nie opuszczał, śpiewały przy robocie, a srebrzysty ich śmiech słychać było często we dworku, na dziedzińcu, w ogrodzie. Najwięcej w ogrodzie, ten bowiem do nich niepodzielnie należał. Własnymi rękami uprawiały warzywa i kwiaty, ale jakie kwiaty i jakie warzywa! Było co podziwiać, bo choć to niby wszędzie na wsi ludzie coś podobnego mają, ale zawsze to nie to, co w Brozówce. Zbierały też owoce, a jakie z nich konfitury i soki robiły!

Z powodu soku wiśniowego, starsza siostra, Zosia, znalazła się raz w bardzo kłopotliwym położeniu. Człowiek bo nigdy przewidzieć i przypuścić nie jest w stanie, jaki go może zaskoczyć wypadek. Jak piorun z pogodnego nieba, spadnie coś takiego, niby właściwie nie nieszczęście, ale bądź co bądź ambarras taki... taki, że ochota bierze pod ziemię się schować.

Tak się też właśnie zdarzyło.

Jednego dnia, mając z wiśniami do czynienia, panna Zosia zawinęła wysoko rękawy i ufarbowała sobie ręce po same łokcie na czerwono. Działo się to przed domem, na ganku, w chłodzie, bo ganek był cały otoczony kratami, po których piał się gęsto powój kwitnący.

Była zajęta bardzo robotą, a że nucila przytem jakąś piosenkę, więc nie słyszała, że przyjechał ktoś obcy. A ten ktoś przyjechał wierzchem, uwiązał konia u sztachet, a sam wszedł wprost do ganku.



Wszedł i stał przez chwilę, a Zosia nic o tem nie wiedziała, aż dopiero, gdy się odezwał:

— Przepraszam najmocniej, czy pana Boreckiego zastałem w domu?

Wówczas odwróciła głowę i ujrzała tuż przy sobie człowieka nieznanego, a młodego i bardzo przystojnego.

Zarumieniła się i uciekła, nic nie odpowiadawszy.

Bo też trzeba zdarzenia, żeby się tak przedstawić. Co on sobie pomyśli?

Uciekła do swego pokoju, a o nieznanym gościu powiedziała ciotce.

Pani Gertruda wyszła do niego. Przedstawił się jej i oświadczył, że się nazywa Zawadzki Stanisław, że od roku jest leśniczym w Majdanie, gdzie mieszka z matką i że właśnie z głównego zarządu dóbr nadeszło zawiadomienie, żeby dzierżawcy Brzozówki wydać drzewo na postawienie nowej stoły.

— Sądziłem — rzekł — że panu Boreckiemu zależy na czasie, więc przyjechałem, aby mu powiedzieć, że jest asygnacya i że może przyjechać, kiedy zechce i drzewo wybrać. Mamy kilkadziesiąt sztuk ściętych w zimie, które zaraz można obrabiać i zabierać z lasu.

Pani Gertruda zachwycona była uprzejmością młodego chłopca dla brata, chociaż, właściwie mówiąc, była to uprzejmość obłudna. Nie dla pana Jacka on przyjechał, ale dla Zosi, którą widział parę razy zdaleka i która mu się szczególnie podobała.

— Dziękuję panu serdecznie — rzekła — proszę dalej, niech pan spocznie. Brat mój w polu. Wróci za kwadrans na obiad, a mam nadzieję, że pan naszym chlebem i solą nie pogardzi.

Pan Stanisław, szczęśliwy z zaproszenia, skłonił się z uszanowaniem przed ciotką Gertrudą, która zaraz jego konika kazała wziąć do stajni.

Zaczęły się rozpytywania.

— Więc pan na Majdanie mieszka?

— Tak, pani dobrodziejko.

— Przejeżdżałam kiedyś tamtędy; to jest w lesie, w samym środku lasu. Nie przykrzy się panu w takiej samotni?

— Nie, pani. Cały dzień w lesie jestem, a często i w nocy trzeba wychodzić, pilnować, czy drzewa nie kradną. Matka moja z początku obawiała się, ale teraz przywykła już.

— Jej to rzeczywiście musi być przykro, gdy pana w domu niema.

— Przyzwyczaiła się. Przytem Majdan nie jest takim pustkowiem, jakby się zdawało, ludzi nie brak. Matka ma dwie służące, jest chłopiec do koni, pastuszek do krów, dwóch gajowych mieszka obok w czworaku. Matka moja zresztą ciągle zajęta, zawsze umie sobie znaleźć zatrudnienie. Od rana do wieczora jest w ruchu i wciąż się skarży, że nie ma czasu.

— Ma rację, panie. Kobieta, która chce pracować, jak się należy i zrobić wszystko, co do niej należy, nigdy nie ma zawiele czasu. Czy państwo dawno w tych stronach?

— Od roku.

— A poprzednio?

— Mama mieszkała w Warszawie, a ja, po skończeniu gimnazjum, praktykowałem w leśnictwie.

— Więc państwo z Warszawy rodem?

— Nie — odpowiedział z westchnieniem — rodem my ze wsi. Ojciec miał swój folwark po tamtej stronie Wisły, ale nie szczęściło mu się, chorował

długo, wreszcie umarł. Mama nie mogła sama gospodarstwa prowadzić, ja byłem jeszcze bardzo mały, więc trzeba było sprzedać, aby uratować resztki na życie. Tak dobrzy ludzie radzili i tak się zrobiło. Z niewielkim funduszem przyjechaliśmy do Warszawy, matka trzymała uczniów na stancyi, a ja chodziłem do szkół. Później byłem trzy lata na praktyce w leśnictwie, a teraz, dostawszy posadę w dobrach hrabiowskich, zabrałem matkę do siebie i znów jesteśmy razem. Nieraz matka mówi, że choć się z początku bała trochę, ale teraz dziękuje Bogu, że jest na Majdanie i powiada, że woli mieszkać w lesie, aniżeli w Warszawie.

— Świętą rację ma; ja tak samo myślę. Warszawa, to istne piekło. Zrozumieć nie jestem w stanie, jak ludzie mogą wytrzymać w tamtejszym rozgardyaszu i wrzasku. Turkot, tłok, rejwach — kłaniam uniżenie. A cóż pan myśli o dużem mieście?

— Ja bo jestem przyzwyczajony; przez sześć lat chodziłem tam do szkół, znam wszystkie uliczki i zakątki.

— I zapewne tęskni pan do kochanej Warszawki?

— Nie, proszę pani, mnie tu dobrze, mam zatrudnienie, które lubię, kawałek chleba spokojny.

— Co to, to niebardzo — rzekła panna Gertruda — te nocne wyprawy na złodziej nie są wcale przyjemne.

— Do wszystkiego się można przyzwycząić.

Niebawem nadszedł Borecki i powitał młodego człowieka bardzo uprzejmie.

— Wielką mi pan wyrządziłeś przysługę — rzekł — byłem bo niespokojny, że tak długo zarząd z odpowiedzialnością zwłóczy, a budynek jest mi konieczny; w polu zboża dość, a niema gdzie

składać. Już majstrów ugodziłem i robotników, każda chwila mi droga.

— W takim razie zapraszam pana dobrodzieja na jutro na cały dzień na Majdan; wybierze pan bu-  
dulec i wymierzmy, ile kubików zawiera.

Podano obiad, zjawiły się i panienki. Zosia była bardzo zażenowana, a ile razy młody człowiek spojrział na jej ręce, na których zresztą już ani śladu wisien nie było, spuszczała oczy i rumieniła się.

Przeszło to przecie jakoś i pierwsze lody przełamane zostały. W godzinę po obiedzie, Stanisław odjechał, a przy pożegnaniu ciotka Gertruda prosiła go, aby o Brzozówce nie zapominał.

Nazajutrz wieczorem, gdy pan Jacek z Majdanu powrócił, siostra odbyła z nim krótką „konferencyę“, a właściwie badanie.

— Cóż tam, panie bracie, na Majdanie? Jakże ci się wydaje ów pan Stanisław?

Pan Jacek uśmiechnął się pod wąsem.

— Uważam — rzekł — że pani siostra bywa niekiedy ciekawa.

— Jak kobieta, panie bracie, a że się pytam, złego w tem nic niema.

A któżby o tem myślał? Widzę tylko, że się chłopak pani siostrze podobał.

— Na wszystko czas przychodzi, bracie, a jeżeli podejmiemy się obowiązków, to oczywiście powinniśmy je spełniać sumiennie.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz, pani siostro.

— Dziwnie pan brat niedomyślny. Dopóki dziewczęta twoje były małe, patrzyłam na gospodarstwo, na kury i gęsi, żeby zebrać pieniądze na wyprawę; teraz dziewczynki podrosły, muszę więc patrzeć na chłopaków, żeby im znaleźć mężów. Cho-



ciaż sama jestem starą panną i na ten los się nie uskarżam, ale Zosi i Jadwini życzę, aby zamaż wyszły.

— Dlaczegoż to tak?

— Bo życzę im lepiej, aniżeli sobie.

Rzekłszy to, ciotka Gertruda wstała i odeszła niby do szafy poszukać czegoś, w gruncie rzeczy zaś, aby ukryć rozrzewnienie. Po chwili była już uspokojona zupełnie.

— Sądziłabym — rzekła — że niechby ten młody człowiek u nas bywał. Chciałabym też zapoznać się z jego matką. Cóż pan brat o tem sądzi?

— Niechby i bywał.

— Trzeba, żeby się młodzi poznali, a jeżeli przypadną sobie do gustu, to...

— A za pozwoleniem, pani siostró, to jeszcze na wodzie widłami pisano. Od bywania do ołtarza ogromnie daleko. Zresztą, dziewczyny nasze są tak młode, że niema czem sobie głowy teraz zaprzętać.

— O wszystkim trzeba myśleć zawczasu...

— Zawczasu, a zawcześniej, to różnica.

— Może bratu to nie w guście, że oficjalista?

— O, co to, to nie, pani siostró. I ja przecież nie na swoim, tylko na cudzym pracuję, a tem się tylko od zwykłego rządcy różnię, że mam więcej samodzielności. Niema o tem mowy, żebym oficjalistą pogardzał; ale to, widzisz, chłopiec jeszcze bardzo młody.

— Tem lepiej.

— Niezamożny, może nawet biedny, z czegoż utrzyma rodzinę?

— Słyszałam, że pani Zawadzka ma jakiś fundusik.

— Niechże go ma z Bogiem — rzekł Borecki, wstając.—Czas na mnie; muszę iść w pole, zaś pani

siostra czyń sobie, jako chcesz, zdałem na ciebie prawa matki. Chłopak, jeżeli chce, niech bywa; poznajmy go, przekonajmy się, co wart, ale uprzedzam, że ostatecznie słowo sobie pozostawiam i że się nie zobowiązuję do niczego. Uważa pani siostra: do niczego.

— Naturalnie, uważam i żadnych zobowiązań nie wymagam, żadnych, panie bracie. Ja też nie jestem w gorącej wodzie kąpana, a jeżeli pragnę, żeby chłopak bywał, to jedynie dlatego, aby go poznać. Kupić nie kupić, jak to mówią, ale potargować wolno.

Na tem się skończyła konferencya pana brata z panią siostrą. Pan Jacek poszedł w pole, pani Gertruda do swoich zatrudnień i już więcej mowy o tym przedmiocie nie było.

Stanisław przyjeżdżał od czasu do czasu, ale dość rzadko; nie chciał nadużywać gościnności.

Panna Gertruda zrobiła znajomość z jego matką. Obie te kobiety, zawzięte gospodynie, a wiekiem prawie równe sobie i w jednakowych wychowane zasadach, zaprzyjaźniły się w krótkim czasie, a jak zaczęły wywodzić swoją prozapię i koligacye rozliczne, to się pokazało w rezultacie, że są jedna względem drugiej, jeżeli nie krewne, to przynajmniej powinowate, albowiem zarówno w dalszej rodzinie pani Zawadzkiej, jak i w rodzinie panny Gertrudy, płątały się podobne nazwiska.

Taki był stosunek między dworkiem dzierżawcy Brzozówki a domkiem leśniczego na Majdanie.

Dziad Błażej dotrzymał słowa, danego panience; powlókł się na Majdan i domku nie ominął, wiedział bowiem z praktyki, że pani Zawadzka jest kobieta miłosiernego serca i że lubi zgłodniałego nakarmić. Błażej tego rodzaju miłosierne uczynki cenił najwyżej i zaliczał je do cnót najdoskonalszych. Ukłony od panienek z Brzozówki złożył, najadł się

doskonale i powędrował ku domowi, za dnia jeszcze, aby nazbierać grzybów, których wielka obfitość była w lesie.

Po dobrem śniadaniu w Brzozówce, obiitym obiedzie w Majdanie, należała mu się słusznie uczciwa kolacya, aby dzień był dobrze zakończony. Właśnie taką kolacyę zamierzał w domu, w swej budzie dziadowskiej, sporządzić z grzybów.

Tegoż samego wieczora pani Zawadzka z synem była w Brzozówce.

---

## ROZDZIAŁ VIII,

**w którym jest mowa o drabinie symbolicznej, o tem, jak Chaskiel Wiatrak kochał Michała Rokitę, jak Walenty Wasążek nie znalazł odpowiedzi na pytanie prawne, tudzież, jak Uszer Engelman określił istotę i wielkie znaczenie maleńkiego wyrazu „pfe“.**

Nie każdemu dano jest stanąć wysoko na tej ziemi; pominąwszy honor urodzenia i należenia lub nie do ludu wybranego, los umieszcza ludzi na różnych szczeblach drabiny społecznej w sposób wielce kapryśny. Drabina to wysoka, szczebli w niej mnóstwo, a każde miasto swoją drabinę oddzielną posiada.

Takie Czarnebloto naprzykład, aczkolwiek jest tylko drobną częstką świata, stanowi jednak samo w sobie świat i ma także swoją drabinę. Na najwyższych jej szczeblach, niby kury na grzędach, siedzą i kiwają się w przyjemny sposób uczeni; nieco niżej wielcy bogacze, kupcy, właściciele domów, wielce szanowni szynkarze, przezacni posiadacze sklepów.

wymowni faktorzy i coraz niżej, niżej, aż do ordynaryjnych furmanów, aż do rzemieślników biednych, których mądrość narodu do najmarniejszych istot zalicza, mówiąc, że koza nie bydlę, kura nie ptak, a szewc i krawiec, nie człowiek...

Nie na wysokim też szczeblu owej drabiny symbolicznej zasiadł Chaskiel Wiatrak z Olszanki, prosty Żyd wiejski, trochę pachciarz, trochę handlujący i cokolwiek kapitalista. Pacht trzymał do wspólki, handlował po większej części też do wspólki, a na operacye finansowe najczęściej puszczał się z cudzemi pieniędzmi.

Nie można powiedzieć, że taki człowiek wiele znaczy; bez zaprzeczenia jest to człowiek, ale nie osoba. Mieszka na wsi, w oddaleniu od wielkiego zgromadzenia, do miasteczka przyjeżdża tylko na czas świąt jesiennych, nie zna słodkiego smaku dysput, prowadzonych codziennie na rynku, w szkole, w łaźni i w innych miejscach zebrań publicznych, handluje z ludźmi grubymi, z chłopami i, za wielkiem przeproszeniem, z babami wiejskimi.

Rozpatrzywszy gruntownie sposób życia takiego człowieka, nie sposób mu dać wysokiego miejsca na drabinie, gdyż on jest zdziczały potroszę i nie ma wcale tego glancu, tej delikatnej politory, jaką posiada każdy stały mieszkaniec Czarnegołota.

Chaskiel rozumiał doskonale swoje położenie, a trzeba mu przyznać, że się nie buntował i nie pchał w górę. Był to człowiek zgodny z natury, a o zaszczyty dbał niewiele.

Nieraz mówił, że woli małego rubelka, aniżeli wielki honor, a trzy ruble przekłada nad dziewięć honorów.

Jest to najwymowniejszy dowód, że człowiek



od gromady oderwany dziczeje, to też historia Czarnegołota nie daje ani jednego przykładu, aby kiedykolwiek jaki pachciarz, dzierzawca ogrodu, kramarz wioskowy i wogóle wiejski Żyd wstawił się uczonością lub wymową, aby potrafił poprowadzić dysputę, lub rozgryźć twardą łupinę głębokiej sentencji i wydobyć z niej dorodne ziarno mądrości.

Pachciarz zwyczajny, czy choćby nawet śmiek-tankowy, jest tylko pachciarzem i nie można od niego wymagać, aby był czem innem, bo niema sensu żądać od śledzia, aby był nadziewanym szczupakiem

Chaskiel Wiatrak bywał w Czarnemłocie o tyle tylko, o ile wymagały jego interesa; nie jeździł tam nigdy dla przyjemności, ani dla odwiedzenia krewnych, wolał handlować, a trzeba mu to przyznać, że handlował dobrze.

Z kilku okolicznych wiosek chłopci należeli do niego prawie wszyscy i z zagonowej szlachty bardzo wielu. Stało się to w ciągu dziesięciu lat, a zrobiło się tak cicho, gładko i delikatnie, że sami dłużnicy nie mogli zmiarkować, kiedy i jak znaleźli się w Chaskłowej kieszeni.

W tem właśnie sztuka.

Chaskiel dla wszystkich swoich dłużników był bardzo uprzejmy, serce miał, jak z wosku, nie dokucał, nie egzekwował, chyba takich tylko, o których wiedział, że już są na dokończeniu.

Takich dusił bez miłosierdzia i zabierał im wszystkie resztki, przyczem jednak bardzo ubolewał, prawie, że płakał. Tłumaczył innym swoim klientom, że czyni to z konieczności; że jest przymuszony do akcji, która mu jest obrzydliwa i wstrętna. Tłumaczył, że musi ratować swoje mienie, swój grosz krwawo zapracowany, no, a kto ratuje

z płonącego budynku sprzęt jaki, to nie bierze go delikatnie i przez rękawiczki, ale chwytą go brutalnie, aby go tylko od spalenia ocalić.

Wszakże, kto miał jeszcze cokolwiek, kto wreszcie był zdrow, zdolny do zarobkowania, mógł żyć z Chasklem Wiatrakiem, jak z bratem.

Chaskiel lubił mówić o sobie, że jest złoty Żydek, że z nim wszystko można, co kto chce, na wszystkie sposoby.

Naprzykład z takim Michałem Rokitą. Ktoby z tym chłopcem wytrzymał? Chaskiel wytrzymuje. Kto inny jużby go dziesięć razy zlicytował i zniszczył. Chaskiel nie niszczy. On woli zgodnie, dobrze, poczciwie, on nie cierpi procesów i kłótni, bardzo cierpliwie czeka do ostatniej chwili, dopóki Rokita jeszcze coś wart

Nie jest wcale przyjemny stosunek z takim paskudnym chłopem, który nie należy do kategorii ludzi dobrze wychowanych. W rozmowie wyrażień nie dobiera, głosu nie moduluje, a pięście tylko zaciska.

Trzeba być bardzo odważnym, żeby się móżdź znajdować w bliskości takiej pięści. Zaciśnięta kurczowo, ona wcale do ludzkiej ręki podobna nie jest, ale wygląda raczej jak młot, złożony z żył, skóry i sęków dębowych.

Chaskiel nie lęka się bynajmniej tej łapy żelaznej, ani potężnej, barczystej postaci Rokity, ani jego oczu ponurych, patrzących groźnie z pod brwi krzaczastych, czarnych. Nie obawia się też głosu i przekleństw, które olbrzym miota, zwłaszcza, gdy mu wódka w głowie zaszumi.

— Nie róbcie głupstwa, Michale, dajcie pokój!

Tyle tylko mówi Chaskiel, a barczysty chłop rzeczywiście daje pokój i nie robi głupstwa.

Jest coś osobliwego w stosunku tych dwóch ludzi, tak bardzo niepodobnych do siebie.

Rokita to siła fizyczna, brutalna, chwilami zda się niepohamowana. Chaskiel Wiatrak zaś wydaje się wcieleniem delikatnego sprytu.

Jest on dość wysoki, ale szczupły, nie imponujący potęgą mięśni, przeciwnie, jego ręce są chude i cienkie, palce długie, suche, giętkie, przypominają szpony jastrzębia, twarz ma bladą, kości policzkowe wystające, nos duży, garbaty. Oblicze jego okala zarost barwy żółtawej, także gęste i kręcące się włosy pokrywają mu głowę. Oczy bystre, biegające nieustannie, mają kolor nieokreślony, dziwny, bo niby szary, a w pewnych warunkach oświetlenia zielonawy, jak woda rzeczki, której brzegi są gęsto obsadzone wierzbiną.

Oczy te są duże, o źrenicach wrażliwych niezmernie. Gdy słońce świeci jasno, kurczą się one i zmniejszają do rozmiarów drobnego punkciku, ale przy słabym świetle rozszerzają się ogromnie i błyszczą, niby sobie ślepie.

Możnaby mniemać, że źrenice Chaskiela posiadają własność magnetyzowania Rokity.

Stosunek tych dwóch ludzi trwa mniej więcej od lat dziesięciu, a związany został od czasu osiedlenia się Chaskla na wsi.

Był to wówczas bardzo biedny i pokorny Żydek ten Chaskiel; właśnie wchodził on do wsi, a wchodził, jak większa część wiejskich Żydków, przez ogród, mały ogród owocowy, z którego miał płacić dwadzieścia rubli dzierżawy.

Młody Chaskiel był nadzwyczaj pokorny i usługowy dla drobnej szlachty, dla chłopów, wszystkim się nisko kłaniał, a w kieszeni swej długiej kaptoty miał istny sklepik.

Baby wiejskie patrzyły na niego, jak na czarodzieja, gdy na każde zawołanie wydobywał z kieszeni igły, szpilki, nici, wstążki, paciorki, tasiemki, guziki, co kto chciał.

— Ja to mam, aby ludziom wygodzić—mówił.

I rzeczywiście nie szukał zysku; jeżeli sprzedał babie igłę, to wręcz mówił, że nie chce pieniędzy, będzie zupełnie zadowolony, jeżeli dostanie jajko i byli zadowoleni oboje: i Chaskiel i baba; baba nawet więcej, niż Chaskiel, bo on tylko jajkiem, a ona nową igłą i przeświadczeniem, że nabyła ją, nie naruszywszy gotowizny, tak trudnej do zebrania.

Nietylko damskie towary znajdowały się w przepaścistych kieszeniach Chaskla; umiał on z nich wydobyć w razie potrzeby paczkę tytoniu, ołówek tabaki, kilka papierosów, doskonałe cygaro, prawdziwie amatorską sztukę, a co najważniejsza, flaszkę mocnej, palącej, jak ogień, wódki dla chłopów i flaszkę czerwonej, a słodkiej, jak cukier, dla kobiet.

I to wszystko można było mieć od Chaskla, nie wydobywszy ani złamanego grosza, za głupstwa: za jajko, motek przędzy, za kawałek płótna, za kurek, kaczkę, za garniec zboża. Bo Chaskiel nie wybierał, ani nie przebierał; brał, co mu dawano, prawie bez żadnego targu.

Po tygodniowym pobycie we wsi, Chaskiel udał się do Michała Rokity, aby wynająć od niego furmankę do miasteczka na targ i to był początek związania stosunków, które się potem tak ślicznie zaplątały i zamotały.

Rokita zaprzągnął konia do wozu i zajechał przed ogród po Chaskla i po jego towar. Był koszyk drobnego agrestu i koszyk niedojrzałych małgorzatek, a przytem duży koszyk jaj, sporo oselek masła, kilka-



naście kurcząt, trochę ziarna w dwóch workach, co wymownie świadczyło, że kieszeń Chaskła miała większe obroty, niż ogród.

W Czarnembłocie Rokita chciał zrobić jakiś sprawunek, ale pieniędzy nie miał. Chaskiel mu najchętniej usłużył. Pożyczył mu trzy ruble w gotówce i jak pożyczył! Na godne słowo, bez kwitka, bez żadnej karteczki i jeszcze zafundował gorzałki.

Rokita był wzruszony i mówił do sąsiada, którego na targu spotkał:

— Już Żyd, na podziw, kumie; we wsi z niego wygoda osobliwa, o czym kto pomyśli, to u niego jest i bez pieniędzy nawet, a mnie dzisiaj w potrzebie trzema rublami wygodził, choć go nawet nie prosiłem. Godny Żyd na wszystkie cztery boki. Inni w takiej przygodzie gadają o procencie — on nie; inni zaraz każą kwitki pisać — on nie. Sprawiedliwie wam, kumie, powiadam, że niema takiego drugiego Żyda na świecie.

Kum kiwał głową i dziwił się; potem poszli z Rokitą na wódkę i dziwili się we dwóch; potem sen ich zmorzył, pokładli się więc na wozach i spali aż do wieczora.

Jak roślina na dobrym, żyznym gruncie zakorzenia się coraz silniej, rozkrzewia bujnie, nabiera sił żywotnych i mocy, tak Chaskiel Wiatrak zakorzenił się doskonale w Olszance. Grunt tej wioski sprzyjający był dla niego.

Gdy jesień nadeszła i w ogrodzie nic już nie było do obrywania, Chaskiel nie powrócił już do miasta, lecz pozostał we wsi. Pachciarz olszaniecki, Mosiek Oko, człowiek stary i zniedołężniały, a Chaskła blizki kuzyn, uczynił go swoim współnikiem. Nie było to wielkie przedsięwzięcie, ale też i Chas-

kiel nie miał się za wielką osobę, a tytuł współpachciarza ambicyę jego zadawała w zupełności.

Mieszkał sobie tedy w Olszance spokojnie, chłopom i babom dogadzał, wszystkim się kłaniał nizko, dla każdego był usłużny niezmiernie, kredytu udzielał z przyjemnością i powoli ludność Olszanki wsuwała się do jego kieszeni.

Działo się to nieznaczenie, gładko, tak, że klient sam się nie spostrzegł, kiedy i jak stawał się dłużnikiem uprzejmego Żydka.

Chaskiel, gdy się finansowo nieco wzmocnił i trochę większy kapitał do swych obrotów pozyskał, nie porzucając drobnych interesów, zaczął się puszczać na większe. Bywały takie zdarzenia, że kupował krowę, lub kilka korcy zboża; bywały też wypadki, że pożyczał szlachcie zagonowej i chłopom po trzydzieści i pięćdziesiąt rubli. Trzeba przyznać, że nie było grzeczniejszego, uprzejmiejszego i bardziej wyrozumiałego wierzyciela.

O procent wcale nie dbał; kto chciał dać gotówką, mógł dać gotówką, kto kartoflami—i owszem: kto nie miał w danej chwili ani gotówki, ani kartofli, mógł jeszcze tańszym kosztem i bez żadnego kłopotu przypisać procent do kapitału i także miał spokój. Takim sposobem dłużnik prawie nie wiedział, że ma dług i żył sobie spokojnie.

Stosunek Chaskla z Rokitą był prawdziwie przyjacielski. Jak się zaczęło od owych trzech rubli, pożyczonych tak chętnie, uprzejmie i bez żądania rewersu w Czarnembłocie, tak trwało ciągle bez przerwy. Rokita trochę pił, trochę gotówki brał, trochę oddawał, to znów dopisywał i znów oddawał pieniędzmi lub ziarnem, odrabiał furmankami, a nieśmiertelny rachunek trwał zawsze i zwiększał się stale.

Z biegiem czasu, po dziesięciu latach szczęśliwego przemieszkiwania w Olszance, Chaskiel trochę ociężał; nie był już taki kłaniający się i usłużny, jak dawniej, w drobniejszych interesach wyręczał się żoną i dziećmi. Nawet powierzchowność jego uległa pewnej zmianie: cokolwiek zmężniał i spoważniał.

W tym to czasie, po dziesięciu latach stosunku i znajomości, dla Rokity zaczął się robić obojętnym, a czasem nawet i cierpkim. Chaskiel znał się nie tylko na gęsiach, mleku, skórkach zajęczych, wódce i tym podobnych towarach, on był także wielkim znawcą chłopów i każdego umiał najdokładniej ocenić, ile wart.

Rokita był chłop dobrej ceny. Miał własne gospodarstwo, parę koni, kilka sztuk bydła, a przytem odznaczał się niesłychaną siłą i pracowitością. Czasem się upijał, ale gdy wziął się do kosy, cepów lub siekiery, robota paliła mu się w rękę. To także Chaskiel zauważył i policzył; dla tej zalety dał Rokicie kredyt nie tylko rzeczowy, lecz i osobisty.

Ale kredyt ten był już na wyczerpaniu i Chaskiel zaczynał już trochę głową kręcić, co nie jest bynajmniej dobrym znakiem. Kilkakrotnie już zapytywał Rokitę, gdzie pieniądze podziewa i czy je chłopską modą w ziemię zakopuje?

— Żeby ciebie tak w ziemię zakopali — mruknął chłop ponuro.

— Fe, fe! Dajcie pokój z takim gadaniem paskudnem. Ja was pytam grzecznie, a wy zaraz z takim słowem, co paskudne i nieprzyjemne jest, fe!

— To nie gadać, że pieniądze zakopuję, skoro mi na chleb braknie!

— Mnie to jest badzo dziwno. Czy nie mieliście zboża?

— Miałem, alem je wam oddał; przy obróbce drzewa w lesie i przy wywózce zarobiłem piękny grosz, alem go wam też oddał. Uchowało się też troje cieląt i te wam oddałem. Skądże mam co mieć? Nie będę chyba kradł, albo rozbijał po drogach!

— Wy dziwny człowiek jesteście, Michale, bardzo dziwny!

— A juści Nie dziwny, jeno biedny, obdarty...

— Nie grzeszcie. Macie gospodarstwo, macie konie, macie zarobku, ile chcecie i ile zdążycie wykonać. Co wam brakuje?

— Et, nie bajałbyś, Żydzie, po próżnicy! Siódmą skórę z człowieka ściąga i pyta jeszcze, co mi brakuje?

— Fe! Michale, fe! Wy jesteście człowiek niewdzięczny, ja się po was nigdy nie spodziewałem takiego paskudnego charakteru, takiej złej pamięci. Kto was w każdej potrzebie ratuje? Kto wam dopomaga? Do kogo wy pójdziecie, gdy macie ochotę się napić, gdy wam kilka rubli potrzeba? Do kogo — do Chaskla. A potem wy powiadacie, że wam Chaskiel wszystko zabiera. On nie zabiera, on tylko odbiera, i to nie wszystko. Niewarto ludziom robić dogodności. A po co wy dzisiaj do mnie przyszli? Pewnie po pieniądze?

— A juści, że tak, bo mi na podatek trzeba, bo mi się wóz popsuł i trzeba go do kowala oddać, bo kobieta powiada, że jej soli brakuje.

— Wy myślicie, że ja tego nie wiem? Oj, oj! Wam na podatek trzeba ośm rubli, ale jeszcze macie tydzień czasu; żelaza do waszego wozu trzeba sześćdziesiąt funtów.

— Kowal mówił, że najmniej siedmdziesiąt.

— Wy nie słuchajcie kowala, wy słuchajcie mnie. A o sól nie frasujcie się, u mnie jest cała becz-



ka. Ja mogę na wszystko poradzić, ale nie gadajcie, że was niszczę.

— Jać nie powiadam, tylko sobie myślę, gdzie mnie się wszystko podziewa. Nibyć i stąd i stąd grosz siaki taki wpadnie i zaraz ucieknie i niema nic. W głowę zachodzę...

Chaskiel zrobił minę poważną i rękę na ramieniu chłopą położył.

— Wy nie myślicie dużo, Michale, — rzekł — myślenie, to nie gospodarski interes. Wy pilnujcie swojej roboty, a jak zechcecie mieć pomyślenie, to połóżcie się trochę spać. To jest najlepsze lekarstwo. Ja wam z dobroci tak radzę.

— W zmartwieniu to i zasnąć trudno.

— Oj, oj! Wypić dobry kielich gorzałki, to zaraz będzie doskonale spanie. I wy zaśniecie i wasze myślenie zaśnie, a jak się wyśpicie, to będziecie mieli lepszą siłę do każdej roboty. Ja wam jeszcze ten raz wygodzę, ale pamiętajcie, że niedługo już będę mógł wam robić takie wygodności.

— Dlaczego?

— Wyście mi już bardzo dużo winni, wy może sami nie wiecie ile. Trzeba raz zrobić porządek.

— Niby... jakże to porządek?

— Obrachować, co się należy i zapłacić.

— Skądże ja wam zapłacę, kiedy nie mam.

— Aj, macie, macie, Michale.

— Co?

— A grunt? Nie rachujecie gruntu. Takie porządne gospodarstwo, z dobrem zabudowaniem. Bardzo ładny majątek.

— Więc niby co?

— Jakto, co?

— No, co mój grunt ma do waszego długu?

— Wy się pytacie. Sprzedajcie grunt, a mnie zapłaćcie dług.

— A ja się gdzie podzieję, a dzieciom co zostawię?

— To jest mały frasunek. Taki człowiek, jak wy, Michale, to się wszędzie podzieje. Was na każdy folwark z wielką chęcią wezmą, bo wy dobry robotnik. Wy jesteście tyle warci, co dwa fornale, albo dwa parobki, co trzy parobki! Wy możecie mieć ładną pensyę, ładną ordynaryę, porządną stancyę w czworakach, możecie sobie żyć, jak pan. A dzieci? Koniecznie dzieciom trzeba zostawiać grunt? Wcale nie koniecznie, ja moim dzieciom wcale żadnego gruntu nie zostawię.

— Bo Chaskłowe dzieci żydowskie, a moje gospodarskie.

— To co? Gospodarskie też mogą być bez gruntu. Nie macie się o co frasować. Na świecie ludzi jest dużo, ale takich, co mają grunt, niewiele. Ja wam mogę nastreczyć dobrego kupca.

— A jeśli ja nie zechcę sprzedać?

Chaskiel wzruszył ramionami.

— Nie sprzedacie dobrowolnie, to ja podam do sądu i sąd sprzeda wasz grunt przez licytacyę.

— Tak?

— Takie prawo. Tymczasem wy sobie do głowy nic nie przypuszczajcie, Michale; wy możecie gruntu nie sprzedawać i mnie dług oddać.

— Skąd?

— Albo ja wiem? Możecie wyorać garnek złotych pieniędzy, znaleźć na drodze, pożyczyć od kogo. Czy to człowiek może wiedzieć, skąd szczęście do niego przyjdzie? Ja dziś z wami nie będę dużo gadał, bo nie mam czasu, zaraz muszę w drogę jechać. Przyjdźcie pojutrze, ja wam jeszcze raz wy-

godzę. Dostaniecie na podatek i na żelazo, a soli weźcie sobie zaraz, ile wam potrzeba. Co się tyczy długu, radzę wam zapłacić lepiej dobrowolnie—mnie teraz bardzo pieniądze potrzebne, chcę sobie kupić dom w Czarnembłocie.

Chłop wziął sól i ze spuszczoną głową powlókł się do domu.

Ciężkie myśli roily się w jego mózgu, zagadki nierozplątane, zawiłe. Ogarnęła go żałość i rozpacz. Zdawało mu się, że jest robakiem, którego lada chwila ktoś nogą rozdepce.

Szedł powoli, nie patrząc na ludzi, na powitania nie odpowiadał, a tak się w myślach pograżył, że chałupę swoją ominął i, zamiast wejść do siebie, poszedł dalej, aż na koniec wsi.

Dopiero zawzięte ujadanie psa przebudziło go z zadumy. Obejrzał się i spostrzegł, że jest na samym końcu wsi, przed dworkiem Walentego Waszka.

Szlachcic odpoczywał po całodziennym trudzie. Kapotę z siebie zrzucił i tak w koszuli tylko i w kamizelce siedział i ćmił fajkę. Rokicie przyszła myśl. Odpędził psa i poszedł prosto przed dworek.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł.—Dobry wieczór panu Walentemu.

— Na wieki wieków! — odpowiedział szlachcic. — Jak się masz, Michale? Cóż cię tu na moje podwórko przypędziło?

— Bieda, panie Walenty.

— Mój bracie, zły ja doktor na biedę, ale przecież powiedz.

— Na moją biedę pan Walenty lepszy będzie doktor, niż kto inny.

— No, no?

— Pan Walenty prawo zna?

— Mój bracie, ty w swoim życiu tyle zagonów nie zorałeś, tyleś kop zboża nie omlócił, tyleś sztuk bydła nie pasł, ile ja artykułów i prawności mam, tu oto, we swoim własnym łbie.

To rzekłszy, palcem w czoło się stuknął.

— Mów jeno śmiało a szczerze, jak na spowiedzi do księdza. Sprawę masz, co?

Dusza pieniacka drgnęła w Wasążku, oczy jego zmęczone i jak gdyby zaspane, ożywiły się nagle, twarz przybrała wraz zaciekawienia, wydobył fajkę z ust i gotów był słuchać, choćby do północy.

— Sprawy to ja jeszcze nie mam — rzekł powoli Rokita — alem usłyszał dziś coś takiego, że aż mi we łbie zatrzęszczało, jakby mnie kto kłonicą po czapce pomacał.

— Cóżście to takiego usłyszeli?

— Panie Walenty — rzekł chłop — czy to prawda, że Żyd może mój grunt sprzedać?

— Twój grunt, chłopski, rodzony, po ojcu?

— A juści, innego ja nie mam, jeno co po ojcach.

— Nie może.

— O niechże wam Bóg da zdrowie, panie Walenty! Wielki ciężar zdjęliście ze mnie.

— Ale zaraz, zaraz, bracie, pomaleńku. Gadaj od początku, skąd to wyszło?

— A to, widzi pan Walenty, tak. Jak się tu do nas Chaskiel sprowadził, będzie temu dziesięć lat...

— Pamiętam, pamiętam...

— Sad trzymał wtedy. Ja, w potrzebie będący, pożyczyłem od niego trzy ruble, oddałem i znów w potrzebie pożyczyłem piętnaście i kazał mi kwitek podpisać — podpisałem, a za procent, tak i siak, kartoflami, zbożem, furmankami, a trafiło się i groszowiną, czem mogłem i jak mogłem, dawałem i odda-



wałem — i później jeszcze dobierałem trzy razy po piętnaście rubli, i raz całe trzydzieści, i znów dwadzieścia, a jak nie miałem na czas oddać, to różne prowianty brał i tak pisał, doliczał, a mnie jeno kazał podpisywać, jako, że niby rachunek między nami stoi.

— I podpisywałeś, ma się rozumieć? — spytał Waszązek.

— Juści, że podpisywałem, a on mi teraz, psia dusza, zapowiada, żebym mu wszystko oddał i rachuje, że mu winien jestem albo pięćset albo czterysta rubli. Ja powiadam, nie mam, a on mówi, żebym grunt sprzedał. A ja jak mogę grunt sprzedać, kiedy go po ojcach dostałem i dzieciom swoim oddać powinienem? I gdzie się podzieję, jak grunt sprzedam? Z gospodarza na parobka zejdem, w służbę mam iść? Powiadam mu, że gruntu nie sprzedam, a on się śmieje, mówi, że jak ja nie zechcę, to sąd sprzeda mój grunt, że niby licytacya będzie. Ale skoro pan Walenty powiadają, że gospodarskiego gruntu sprzedawać niewolno, toć chyba i sąd nie sprzeda?

Waszązek czoło namarszczył, nastroszył wąsy i rzekł:

— Mój Michale, wlażłeś ty, biedaku, w niedobre miejsce. Przewisko ci Rokita, ale choćbyś był i sam Boruta, to się z tego, nieboraku, nie wydobędziesz.

— Panie Walenty! radźcie życzliwie! Panie Walenty!

— Bóg mi świadkiem, że pragnę, ale w tej rzeczy rada trudna. Podpisałeś bracie, dałeś dyabłu na swoją duszę cyrograf, teraz musisz cierpieć, biedaku, i choćby nie wiem jak kręcić, nic nie pomoże. Żyd cię sprzeda, jak zechce.

— A toć dopiero pan Walenty mówił, jako chłopskiego gruntu Żydom kupować nie wolno.

— Aj, Michale, a toć ja nie mówię, że Żyd kupi twój grunt, tylko powiadam, że go sprzeda. I nie tak on go sprzeda, tylko sąd każe sprzedać, a do kupna przyjdą nie Żydy, tylko chłopi, tacy, którym wolno chłopskie grunta kupować.

— Gdzie zaś chłopi! W naszej wsi bogaczów niema, a i z innych nie wiem, czyby się łakomili. Inszy możeby się sromał po licytacyach, jak Żyd, łazić i na moją krzywde kupować.

— Za pieniądze, Michale, wszystkiego dostanie. Choćby i prawdziwych kupców nie było, to Chaskiel podstawí takiego, co ma prawo kupić, a podstawiony kupi za Chasklowe pieniądze. Opisze go Żyd, jak węża, u regentów i niby ten podstawiony w wasze gospodarstwo wlezie, w chałupie waszej będzie siedział, niby właściciel, ale po prawdzie właścicielem będzie Chaskiel, a on tylko Chasklowym parobkiem.

Chłop swe grube, sękaté, narobione palce we włosach zatopił i patrzył na Wasążka z rozpaczą.

— Walenty! panie Walenty! — mówił ze łzami — a toć to krzywda! Czy niema na to sposobu? Znacie, panie Walenty, wszystkie kodeksy i spraw mieliście kopami, po sądach łazicie, jakby po swoim polu... ratujcie mnie ciemnego.

Ryknął głosem wielkim i do kolan Wasążkowi się rzucił.

— Nie dajcie mnie zgubić! Ratujcie!

Walenty rozczulił się.

— Źle, źle wszystko źle, niema rady. Proce-sować się z nim niewarto, nic nie wskórasz. Na papierze stoi czarno na białem, podpisałeś na swoją zgubę... Jedno tylko jeszcze zostało: trzeba po do-

broci próbować, może on się dobrowolnie zgodzi, może co opuści, może na części rozłoży... może...

— Ja zaraz pójdę do niego.

— A niechże cię Bóg broni, nie idź teraz, ani się waż!

— Dlaczego?

— Rozżalony jesteś. Widzę ja, co się w tobie dzieje. We łbie ogień, w sercu ogień, a pięść świe-rzbi, nieprawda?

— O jakbyście we mnie siedzieli, panie Wa-lenty.

— Właśnie, onby ci co powiedział, a ty w ża-łości mógłbyś pięścią go stuknąć i po zgodzie, po wszystkim. Insze Żydy zawzięte, a ten Chaskiel w dobrym gatunku. Idź ty jeszcze krzynkę w pole, Michale.

— Toć noc.

— Jeszcze lepiej, nie zważaj, idź! Dojdziesz do lasu, potem prosto do domu wracaj, spać się układz. Niech się potem ogień wypali w twojej głowie. Idź i nie wracaj prędzej, aż ten ogień całkiem się w tobie wypali i spopieleje i zagaśnie. Idź, bracie. Nie sprzeda cię Żyd dziś, ani za miesiąc, ani za kwartał, bo taka rzecz swego czasu potrzebuje. Idź, ja będę myślał, może co wymyślę, tylko słuchaj mnie, Mi-chale, słuchaj, bo zginiesz, jak ruda mysz.

— Bóg wam zapłać, panie Walenty, idę!

— Idź z Bogiem.

Waszątek pozostał na ganku zadumany, a chłop poszedł, skręcił z drogi i powłókł się miedzami na swoje zagony garbate. Tam usiadł na wielkim kamieniu przy rowie i głowę podparł na rękach.

I przypomniała mu się cała jego dola, od ko-lebki prawie. On tu, na tem polu, gęsi pasał, za by-dłem chodził; tu suche ciężka dźwigał, za broną bie-

gał; tu żał, kosił, grabił; niejedna kropla jego potu w te zagony wsiąknęła.

W tej wioszczynie urodził się, ożenił się, dzieci doczekał. Był pewny, że tu oczy zamknie i że go na cmentarzu w Zimnej Woli do spoczynku wiecznego ułożą; a teraz mają go wyrzucić z chałupy, z gospodarstwa! Za co? Dlaczego? Przecież się Chaskłowi tyle nie należy, już mu się nawet nic nie należy, bo wszystko ma trzy razy oddane, odśłużone, a jednak może mu całe mienie zabrać.

— Czy może?

Juści może, skoro Waszątek tak powiada. On przecież znawca, zęby zjadł na procesach. Waszątek powiedział: „Czemuś podpisywał? Cierp teraz, kiedyś głupi“.

Za każdy grzech jest kara; ale za ten chyba za ciężka i za wielka... Ginie człowiek, jako mucha, a ratunku znikąd... znikąd...

Ze dwie godziny chłop posiedział na kamieniu, potem wstał i chwiejnym krokiem ku domowi się powlókł.

Dziwna rzecz, jak go dzisiejszy dzień zmordował. Nie robił więcej niż zwykle, a doznaje takiego bólu, jak gdyby mu kto grzbiet kijem wyłomotał. Nogi drżą pod nim, a głowa ociężała, zda się, że ją wielki kamień przywalił.

Kiedy Rokita do domu powrócił, była już blisko północ. Nie wchodził do izby, tylko wprost do sto- doły poszedł, rzucił się na słomę i zasnąć próbował.

Sen nie przychodził jednak; dopiero przed samym świtem przyniósł upragniony spoczynek.

Tej nocy w Czarnembłocie także długo nie spa- no. W wielu oknach migotały światelka, a po uli- each i po rynku snuły się gromadki obywateli.



dzo zajętych, podzielonych na grupy, rozmawiających z gestykulacją niezmiernie ożywioną.

Na progach domostw siedziały kobiety i one, dzielając oburzenie swych mężów i braci, wzdychały ciężko i miały przekleństwa.

Księżyc pełny świecił z wysokości, obywatele więc mogli przechadzać się śmiało, bez obawy wpanięcia do rynsztoka, lub kałuży.

Największa grupa zgromadziła się około Jan-  
kla Basa. Mąż ten poważny, tuszy okazałej, z szeroką, rozłożystą brodą, spadającą na piersi, zdawał się być prezesem całego zgromadzenia.

Ten mówił najmniej — tylko słuchał, a tu coraz ktoś przybiegł i nową wiadomość do poprzedniej dorzucił, wywołując okrzyk zdumienia lub zgrozy.

— Wiecie? Słyszeliście? Ten łajdak kupił w Zimnej Woli sto korcy pszenicy!

— Tak, kupił. Wszyscy możemy przyświadczyć, że to prawda.

— Niech on oślepnie!

— Niech on ręce połamie!

— Niech idzie w ziemię!

— Ładne czasy!

— Niedość, że kupił pszenicę w Zimnej Woli, on targował także żyto w Brzozówce! Taki gałgan!

— No, no — odezwał się Mojsie Fisch — dużo ja już rzeczy widziałem, ale tego jeszcze nie widziałem.

— Wy, Mojsie, w porównaniu ze mną, jesteście dzieciak — odezwał się jakiś kaszlący staruszek. — Ja mam dużo więcej lat od was, ale także jeszcze takiej rzeczy nie widziałem.

— Świat się psuje...

— Jak nasze Czarnebloto stoi, od samego po-

czątku, jak ono jest, jeszcze taki wypadek się nie zdarzył!

— Niech przypadną wrogowie Syonu!

— Niech ich wiatr zdmuchnie z oblicza ziemi!

— Powiedzcie mi, skąd ten łajdak pochodzi?

— A skąd dyabeł pochodzi?

— Dyabeł pochodzi z dyabła, ale przecież ten, e którym mówimy, jest nasz.

Zawrzało, jak w ulu.

— Co, on Żyd?

— Niech Pan Bóg nas broni od takich Żydów!

— Chodzi przecież w kapocie.

— Lepszy Żyd bez kapoty, aniżeli kapota bez Żyda.

— Macie słusność. Pytaliście, skąd on pochodzi? On pochodzi z Warszawy.

— Tam jest wielkie zepsucie.

— Czysta zaraza! Na dziesięciu ludzi znajdziecie jedną duszę kosztaną, reszta sama obrzydliwość.

— To prawda — rzekł Mojsie Fisch. — Ja mam taki zwyczaj, że jak tylko wrócę z Warszawy, zaraz idę do łaźni i do mykwy, aby zmyć z siebie obrzydliwość tej Sodomy.

— Takiego gałgana trzeba rozumu nauczyć.

— Spokojnie, powoli! — odezwał się Jankiel Bas.

— Spokojnie? Jankiel bardzo delikatny jest. Jankiel go może chce głaskać po głowie?

Jankiel fajkę z ust wyjął, pomyślał chwilkę i rzekł:

— Jeśli ja go chcę pogłaskać, to tak dobrze, żeby popamiętał. Chcę mieć na niego kilka batów porządnych. Naprzód powiedzcie mi, jak on się naprawdę nazywa?

Jakiś mały Żydek dał na to odpowiedź:

— On się nazywa Abram Figelman. Oby jego imię zginęło z oblicza ziemi!

Jankiel rzekł znowu:

— Mojsie ma się dowiedzieć, gdzie należy, czy papiery tego człowieka są w porządku?

— Ja już wiem — odrzekł Mojsie — są bez żadnego feleru. Ja się dowiadywałem.

— Bardzo dobrze zrobiliście. A teraz potrzeba nam pisarza. Gdzie jest nasz pokątny doradca, gdzie jest Berek?

Młody Żydek wysunął się naprzód.

— Słuchaj, jest dla ciebie kawałek roboty, tylko ma być w dobrym gatunku.

— Potrafię wymyślić coś fein, będziecie kontenci. Gdzie się to ma robić?

— U mnie w domu — rzekł Jankiel.

— Bardzo dobrze. Dajcie na papier.

— Masz i kup, tylko się spiesz.

Udali się do mieszkania Jankla, gdzie właśnie wraz z pokątnym doradcą mieli robić wielkie pisanie na Abrama Figelmana. Wszelkie łajdactwo powinno być wytepięone i wykorzenione... A czyż nie jest łajdactwem, jeżeli jakiś obcy przyjeżdża z dalekiego miasta, osiedla się w pobliżu i psuje handel, wydziera prawowitym obywatelom te zyski, które z dawien dawna, od niepamiętnych czasów, do Czarnegoblota należały?

Zgromadzeni na rynku obywatele zaczęli rozchodzić się do domów, tylko Mojsie Fisch i Uszer Engelman nie mieli ochoty spać. Usiedli na wielkim kamieniu koło szkoły i taką prowadzili rozmowę:

— Uszer — rzekł Mojsie — wiecie wy, co ja myślę?

— Co wy myślicie?

— Ja myślę to samo, co wy.

— Wy myślicie, że jest na świecie dużo takich rzeczy, o których nie można nic innego powiedzieć, jak tylko, że są bardzo pfe!

— Zgadliście, właśnie o tem myślałem.

Obaj mężowie zapadli w milczenie i zaczęli kiwać głowami, co oznacza wielkie natężenie myśli.

Po chwili Mojsie głęboko westchnął i rzekł:

— Tak jest, pfe!

— Bardzo pfe! — odpowiedział Uszer i zarazem dodał: — [Słuchajcie, czy wyście kiedy zastanawiali się nad tym wyrazem „pfe“?]

— Przyznam się wam, że nie. Wyraz to bardzo pospolity, nie znajduje się w uczonych księgach, używa go, kto chce i kiedy chce, kobieta, nawet małe dziecko.

— A ja zastanawiałem się.

— Wy?

— I wcale tego nie żałuję. [To jest wyraz mały, ale ogromnie pakowny. W jego trzech literach mieści się tyle, co w trzech dobrze naładowanych furach.]

— Co się może mieścić?

— Posłuchajcie-no tylko. Gdy wymawiacie wyraz „pfe“, to całe wasze oblicze się zmienia, usta wykrzywiają się, jak gdyby miały w sobie coś bardzo kwaśnego i macie ochotę splunąć.

— Prawda jest.

— Wasz nos robi się wówczas podobny do suszonej gruszki i marszczy się nieprzyjemnie, jak gdyby zaleciało go brzydkie bardzo powietrze. Wasze oczy pomimowoli się zamykają, jak gdyby nie chcąc patrzeć na to, o czem powiedzieliście pfe! Ruszacie ramionami, odwracacie głowę, zdarza się też, że robicie machnięcie ręką, pragnąc niby odpędzić



od siebie dokuczliwą i uprzykrzoną muchę. Czy nieprawda?

— Bardzo prawdziwa prawda.

— Pokażcie mi drugi wyraz, przy wymawianiu którego człowiek okazuje tyle nieprzyjemności całym swoim ciałem, wszystkimi członkami?

— No, nie chcę wymówić w złą godzinę. Oby się na naszych wrogów obróciło, znam jeszcze gorszy wyraz.

— Chcecie powiedzieć: ta słabość?

— Tak.

— Nie jest to dobry przykład. Takie wyrazy, jak, broń Boże, słabość, śmierć, budzą w nas tylko jedno uczucie, to jest strach. Człowiek boi się, drży, to prawda, ale nie wykrzywia ust, nie marszczy nosa, nie przymruża oczu. Niedość na tem, że człowiek, wymawiając wyraz „pfe“, robi tyle skombinowanych ruchów ciałem, czuje on także bardzo żwawe ruchy w duszy. Drga w niej gniew, zawstydzenie, obrzydzenie, niechęć, przykrość, smutek, żal i bardzo wiele rozmaitych uczuć, zależnych od okoliczności. Dziś, z powodu tego gałgana, o którym była mowa na rynku, nie znajdziecie w Czarnembłocie ani jednego człowieka, któryby wyrazu „pfe“ nie wymówił przynajmniej dziesięćkroć, a czy nie widzieliście, ile było przytem oburzenia i wściekłości? Uważaliście też zapewne, jak pluli? Jak myśmy wszyscy pluli?...

— Oby to spadło na jego głowę!

— Niech spadnie. Ale przyznacie mi, że nie traciłem czasu na próżno, rozmyślając nad tym małym wyrazem i wcale nieźle określiłem jego znaczenie. Nu, nie na tem koniec. Wogóle lubię chadzać daleko po ścieżkach myślenia, więc i w tym razie nie zatrzymam się na początku. Każdy towar ma

kilka gatunków, dlaczego i ten wyraz gatunków miał nie mieć? Ja właśnie chcę te gatunki porachować, a jest ich bardzo dużo: takie maleńkie „pfe“, które się mówi małemu dziecku, gdy się trochę błotem zawala i takie wielkie „pfe“, jakie wymawialiśmy dziś z oburzeniem, słuchając o uczynkach tego gałgana! Od pierwszego do drugiego ileż stopni? Mojsie, pomyślcie wy, ile może być stopni?

— Może kilkanaście...

— Może sto, może kilkaset, może tysiąc, może kilka tysięcy! Uważajcie tylko, ile razy zdarzy wam się wymówić ten wyraz.

Długo jeszcze prawił na ten temat Uszer Engelman i byłby prawił do białego dnia, bo z pięknej przedzy można snuć bardzo długą nitkę, ale obu mężów zdjęła senność, przeto, powiedziawszy sobie nawzajem dobre słowo, rozeszli się i każdy z nich poszedł ku domostwu, aby dać wypoczynek swoim dwustu czterdziestu ośmiu członkom.

Mojsie zastał swą piękną małżonkę jeszcze czuwającą.

Stała ona nad ogromną balią, napełnioną płynem ciemnego koloru, dolewała do niego mikstury z różnych flaszek i gąsiorów, zaglądając coraz do jakiegoś gęsto zapisanego zeszytu.

— Co to? Nie śpisz jeszcze? — zapytał małżonek.

— A gdybym ci powiedziała, że śpię.

— Tobyś skłamała...

— W takim razie, dlaczego pytasz o to, co własnymi oczami widzisz, mądry człowieku?

— Cóż ty robisz?

— Na jarmarku zapytywali o francuskie wino, więc robię francuskie wino. Przyrządzę całą balię tego smaku, podług przepisu mego ojca. Będą mieli

doskonały „Lafit“. Ty jutro rano ściągniesz do butelek, zakorkujesz i przylepisz etykiety. Potrafisz?

— Przecież zawsze to robię.

— No, pamiętaj, że to jest stare wino, przypadkiem nabyte od jednego podupadłego kupca z Warszawy. Mój tata zawsze tak mówił i sprzedawał taki sam interes po dwa ruble butelkę. On mi dał swoje recepty. Do Zatraceńca, jeżeli będzie okazya, jutro, bez żadnego pytania, posyłam dwanaście butelek.

— Dlaczego masz posyłać, czy żądał?

— On nie żądał, ale ja żądam mieć od niego dwadzieścia cztery ruble.

Rzekłszy to, Małka roześmiała się, co zrobiło bardzo przykre wrażenie na mężu.

— Słuchaj, Małciu — rzekł łagodnie — dlaczego ty, gdy mówisz o Zatraceńcu, to zawsze śmiejesz się i jesteś wesola?

— Bo ja tak lubię.

— Ale ja cię proszę, nie śmieć się.

— Ty?

— Nie śmieć się, bo to jest pfe!

Rzekłszy to, Mojsie oddalił się z wielką powagą i poszedł spać. Usnął, lecz sen miał ciężki.

Widział przed sobą dwa „pfe“: jedno olbrzymie, kahalne, które nad całem miasteczkiem, niby czarna chmura, zawisło; drugie zaś „pfe“ uśmiechnięte, wesole, jechało na lekkiej bryczce od Zatraceńca wprost przed „Zielonego łabędzia“ do Małki.

Oczywiście, człowiek, trapiiony przez takie dwie zmyry, spokojnie spać nie może...

## ROZDZIAŁ XI.

### Z czem powrócił Glancman z Kopytkowa, oraz jak wyglądał salon w Brzozówce.

Uszer Engelman, zastanawiając się nad różnymi objawami życia ludzkiego, nad urządzeniem świata i organizacją interesów, na nim praktykowanych, nad zwyczajami różnych ludzi, utwierdzał się coraz mocniej w przekonaniu, że najrozumniejszym narodem są Żydzi.

Wprawdzie wiedział o tem jeszcze, będąc małym chłopczykiem, kiedy był w szkółce i dopiero zaczynał po odrobinie i cokolwiek lizać miód wielkiej mądrości, i im więcej plastrów zlizywał, tem gruntowniej ta prawda wbijała mu się w głowę.

Właściwie więc Uszer nie miał szczególnej przyczyny do zbierania dowodów na to, że dzień jest dniem, a noc nocą — ale swoją drogą lubił zbierać z amatorstwa. Nie zgromadzał pieniędzy, gdyż to nie był jego fach, ale zbierał argumenta i dowody. Dobra jest sprawa, mająca dwóch świadków, lecz taka, która ma dwunastu, dwudziestu czterech, czterdziestu ośmiu, jest bezwzględnie lepsza.

Pewnego wieczora postanowił Uszer użyć umiarkowanej przechadzki i pójść w pole, aby łagodnym tchnieniem wiatru ochłodzić głowę, nadmiarem myśli ciężkich sforsowaną.

Wyszedł za rogatkę i, usiadłszy na kamieniu przydrożnym, spoczął. Przed oczami jego rysowała się panorama miasteczka, jego rodzinnego, ukochanego miasteczka.

Widział zdaleka czerwone kominy, szare dachy, ściany bielone, gdzieniegdzie okienice różnych barw, widział żółta synagogę i w pewnem oddaleniu



od miasta „dom wieczny“, kirkut, na którym, pod cieniem sosen tylu mężów zasłużonych i nabożnych spoczęło.

Obraz ten rozrzewnił go, skierował jego myśli na punkt jeden, na miasto.

Cóż to jest miasto? Oczywiście jest to zbiorowisko siedzib ludzkich. Kto wymyślił miasto? Bez wątpienia Żydzi; oni tylko jedni mogli wpaść na tak genialny pomysł i urządzić gród ze wszelkimi wygodami, z rzeźnikiem, mykwą, szkołą, ze wszystkim, co tylko potrzeba, a nawet, zachowaj Boże, z kirkutem.

Tylko ordynaryjni ludzie mogą żyć w odosobnieniu, w lasach, w ustroniach; człowiek świątły miasta szuka i tam tylko żyć potrafi.

Wprawdzie dla interesów handlowych, dla chleba i ludzie delikatnego umysłu mieszkają niekiedy na wsi, a nawet przy handlu drzewem i w lesie, ale mieszkanie to chwilowe; zawsze łączność z miastem utrzymują, tam jeżdżą modlić się, słuchać mądrych dysput, zaopatrywać się w pożywienie koszerne, tam czują się prawdziwie w domu, gdy na wsi, w lesie, w ustroniu, są jak gdyby tylko na popasie.

Niepodobna sobie wyobrazić, ażeby ludzie o delikatnym umyśle i uczuciach mogli się obejść bez miasteczka, chociażby przez jeden rok.

— Nie!

I z tego wynika wiele następstw bardzo dobrych, a przede wszystkim to, że każdy z synów Jakubowych żyje podwójnem życiem, raz jako sam, osoba, a po drugie, jako członek tej wielkiej rodziny, która się nazywa miastem.

Jeżeli na miasto spada nieprzyjemność, to i jemu jest nieprzyjemnie i jego to boli; jeżeli zaś jego co boli, to i miastu jest nieprzyjemnie. Tym sposo-

bem jego osoba jest tak ściśle połączona z miastem, jak naprzykład palec, albo ręka, z całym człowiekiem.

Gdy na miasto idzie zimny wiatr, to wszyscy Żydowie kulą się i chuchają w palce; gdy jest przyjemne powietrze, wszyscy się cieszą i używają ciepła.

Ten wiatr i to przyjemne powietrze należy uważać niekoniecznie jako sam wiatr i jako samo powietrze; można te wyrazy rozumieć także w znaczeniu przenośnem. Ów gałgan, naprzykład, przybłąda, który niewiadomo po co się w okolice Czarnebobłota sprowadził i, wbrew odwiecznym prawom, handle różne zaczyna na krzywdę rodowitych obywateli miasteczka, jest też do pewnego stopnia gatunkiem złego wiatru, a od zapachu jego podłych uczynków można dostać kataru. Jego działalność sprawia ból, ból dotkliwy, nietylko obywatelom, których interesom szkodzi, ale i całemu miastu, więc wszystkim.

To też nikczemnik ów wiedzieć powinien, że jeżeli wre na niego gniew, to nie w jednym sercu, ale w tysiącu serc; jeżeli spadają na niego przekleństwa, to nie z jednych ust, ale z tysiąca ust.

Właśnie nad tem myślał Engelman, gdy dostrzegł zbliżającego się męża pięknej Małki.

Powitali się przystojnie.

— Dobry wieczór, Uszer!

— Dobry rok, Mojsie!

— Wyszliście na drogę?

— Cokolwiczek.

— Ja też wyszedłem.

— Niech wam będzie na zdrowie!

— Dziękuję za dobre słowo. Wyglądacie?

— Czego ja mam wyglądać?

— Jakto? Więc nie wyglądacie?

— Każdy człowiek wygląda szczęścia, ale żebym miał przyjść tu umyślnie na wygląkanie, tego nie mogę powiedzieć. Przyszedłem dla świeżego powietrza. W izbie jest duszno, głowa moja ociężała, chciałem więc dać jej wypoczynek i orzeźwienie.

— Bardzo dobrze. Ale w takim razie widzę, że wam nic niewiadomo.

— Co ma mi być wiadomo?

— Nie słyszeliście, że nasz Glancman pojechał raniutko do Kopytkowa?

— Po co on pojechał do Kopytkowa?

— Czyż nie wiecie, po co tam ludzie jeżdżą?

— Czy zachorował kto w jego domu?

— Uchowaj Boże! On pojechał w interesie miasta.

— Tak?

— Nie wiecie? Tak uradzono wczoraj wieczór. Najęli na furmankę i dziś o samym wschodzie słońca już był w drodze. Dziwno mi bardzo, że nic o tem nie wiecie.

— Nie czułem się zdrowym, wczoraj nie wychodziłem z domu, brałem nawet lekarstwo.

— Jakie lekarstwo?

— Trochę mięty, cokolwiek rumianku. Miałem nieprzyjemne ściskanie i szczypanie koło serca.

— A dziś wam lepiej?

— Dużo lepiej, prawie jestem zdrów.

— Chwała Bogu! Ja wam się przyznam szczerze, że wyszedłem naumyślnie na drogę, żeby wyglądać Glancmana; jestem ciekawy, z czem on przyjedzie?

— Zapewne z czem dobrem.

— I ja się tak spodziewam. Jeżeli stamtąd nie będzie rady, skąd ma być rada? Jeżeli stamtąd nie

przyjdzie pomoc, skąd ma być pomoc?

— Macie rację, wielki kabalnik, rebe Chaim, jest mocny, on zdmuchnie wrogów Syonu, on nas poratuje. Ślicznie zrobili, że posłali do niego.

— Patrzcie-no, zdaje mi się, że na drodze widzę kurz.

— I ja widzę.

— To napewno Glancman.

— Biegnijmy naprzeciw...

— Nie, biegnijmy raczej do miasta.

— Po co?

— Miarkujecie sobie zapewne, że Glancman, wysłany przez miasto i w interesie miasta, nie będzie stał na drodze, aby opowiadać wam i mnie, co zrobił; on zajedzie prosto na rynek.

— Wy zawsze macie słuszość, Uszer, macie ją i w tym razie. Idźmy więc.

— Idźmy.

— A spieszmy, musimy bardzo spieszyć, żeby go uprzędzić!

— Co za gwałt?

— W każdym razie gwałt — rzekł Mojsie, uśmiechając się znacząco — bo jeżeli jest zła wiadomość, to ona leci lotem ptaka, a jeżeli dobra, to Glancman nie żałuje koni i także leci lotem ptaka. Widzicie, Uszer, że i mnie trafi się czasem powiedzieć mądre słowo, a przyznacie, że to, któreście teraz usłyszeli, wcale nie było głupie.

— Owszem, było bardzo ładne; nie trzyma się ono na ścisłym kleju filozoficznym, bo zła wiadomość leci lotem ptaka, więc bez pomocy koni, a Glancman wiezie dobrą wiadomość koźmi, więc nie lotem ptaka; ale swoją drogą zdanie wasze miało bardzo dobry klang i może się każdemu podobać.

— Spieszmy jednak... <http://wcin.org.pl>



Obadwaj mężowie puścili się szybko ku miasteczku, tak, że zaczęli mocno sapać, co stało się przyczyną przerwania ich zajmującej rozmowy.

Ciekawi byli niezmiernie, co Glancman przyniósł z Kopytkowa, bo za byle głupstwem nie jeździ się w takie miejsce i do takiej osoby.

Wielki kabalista, Chaim, słynął szeroko ze swych cnót; kilka tysięcy chasydów zjeżdżało się do niego na święta, chociaż właściwie nie był on rabinem, lecz zupełnie prywatnym człowiekiem; ale przecież pomiędzy prywatnymi ludźmi także bywają wyjątki. Znano go na kilkanaście mil wokoło, miał swoich wielbicieli we wszystkich okolicznych miasteczkach, wyrocznią dla nich był, ucieczką we wszelkich kłopotach, radą, pociechą — wszystkim.

Niepozorna osoba; na pierwszy zrut oka zwyczajny Żydek, ale we środku! Jaka moc w tym człowieku jest we środku! On jest bardzo mądry, bardzo mocny i bardzo potężny.

On wie wszystko, co było, co jest, co będzie i czego nie będzie; on widzi w człowieku, jak w kryształowej szklance; on potrafi robić takie kombinacje liczb i liter, od których ziemia mogłaby zdrząć; zna sposoby zaklęcia duchów, a uczynić coś nadzwyczajnego, to jest u niego rzecz bardzo zwyczajna.

Taki człowiek jest postrachem złych duchów; kiedy pali fajkę i wypuści z ust kłęb dymu, giną one w nim tysiącami, jak muchy; a kiedy powie słowo, przepadają miliony paskudników.

Atoli słowa jego nie są obfite, tak, jak nieobfite są na świecie perły i brylanty... Zwyczajny człowiek może mleć językiem bezustanku, bo jego słowa mają wartość piasku, ale taki!...

Znoszą mu, ze wszystkich stron podarunki i pie-

niądze, bo niedelikatnie i niepraktycznie byłoby przystępować do takiego z gołą ręką. On dla siebie potrzebuje bardzo mało, prawie nic; ale ma koło siebie rodzinę, ma duży dom, którego utrzymanie więcej kosztuje, niż, nie ubliżając sprawiedliwemu mężowi porównaniem — niejednego hrabiego.

Do tego to potentata jeździł Glancman, wybrany jako człowiek wymowny. Nikt tak malowniczo i treściwie nie umiałby przedstawić troski, jaka nad Czarnębłotem zawisła, jak Glancman.

Oczekiwano też jego powrotu z niecierpliwością.

Kiedy Engelman z Mojsiem przybiegli na rynek, zaledwie zdołali czerwonymi chustkami obtrzeć spocone czoła, dały się słyszeć głosy:

— Jedzie, jedzie!

Jakoż rozległ się turkot kół po nierównym bruku, a furman Berek ćwiczył swoje chude szkapy co wlażło.

I on, chociaż ordynaryjny bałagula, pysznił się, że z takiego miejsca powraca i chciał przy tej sposobności pokazać swoją sztuczkę, to też tak gwałtownie stuknął o kamień, że o mało co nie wyrzucił Glancmana w kałużę.

Szczęściem obyło się bez wypadku i Glancman, zamiast w błoto, wpadł w ręce swoich zaciekawionych i rozgorączkowanych współobywateli.

Nikt mu nie powiedział: „dobry wieczór“, ani „jak się masz“, wszyscy hałasowali jednocześnie:

— Co?

— Byłeś?

— Widziałeś?

— Gadaj!

Jednocześnie szarpali go za poły i za rękawy, z wielkiej ciekawości, oraz z przedświadczenia, że

dobrze jest dotknąć się człowieka, który w takim miejscu był i taką osobę widział.

— No, prędeż, prędeż! Mów!

— Czy nie widzisz, że stoimy, jak na rozżarzonych węglach?

— Zaraz, czekajcie! — wołał Glancman — przestańcie mnie szarpać! Czy wam się zdaje, że dostałem kapotę w prezencie? Kosztowała mnie ośmnaście rubli, jak jeden grosz.

— Niech cię licho porwie razem z kapotą! Mów, coś zrobił?

— Dobrze.

— A co przywiozłeś?

— Bardzo dużo!

— Słuchajcie! słuchajcie!

— Czy chcecie, żebym na rynku takie rzeczy opowiadał?

— Właśnie na rynku jesteśmy, jak w domu: sami w swoim kółku. Czy to nie jest nasz rynek, sam środek naszego miasta? Samo serce!

Jankiel zaoponował.

— Lepiej pod dachem.

— U mnie! — zawołał Mojsie — pod „Zielonym łabędziem“ taka śliczna sala!

W paradnej stancyi, gdzie zazwyczaj pani Małkowa przyjmowała sam kwiat swoich gości, zgromadziło się tylu obywateli czarnobłockich, ilu tylko w czterech ścianach tej izby mogło się pomieścić. Stali oni szczerlnie jeden obok drugiego, upakowani dokładnie, jak sardynki w pudełku, a że wieczór był parny, przeto pocili się, niby w łaźni.

Glancman zaczął swoją relację od tego, żejechał z wielkim pośpiechem, że Berek bardzo energicznie poganiał konie, on sam zaś jeszcze energicz-

niej poganiał Berka i dzięki temu stanął w Kopytko-  
zaraz po południu.

Powiedziano mu, że wielki mąż tylko co spożył  
obiad i że położył się, aby spocząć. Z tego powodu  
Glanzman czekał, a żeby nie tracić czasu, poszedł  
się posilić.. Zaledwie zdążył zjeść dwa małe kawał-  
ki chleba i cząstkę śledzia, dano mu znać, że już  
może przyjść.

Wiadoma rzecz, sen sprawiedliwego bywa spo-  
kojny, lecz krótki.

Wtedy Glanzman przyglądził brodę i za parę  
chwil stał przed obliczem nabożnego męża.

Pozdrowiwszy go według obyczaju i oddawszy  
honor, takiej osobie przynależny, delegat zaczął mó-  
wić. Cały żal miasteczka, całą jego przykrość i obu-  
rzenie wylał z serca przez usta, a słowa jego, na-  
brzmiały wielkim bolem, padały, niby deszcz kamieni.  
Trzeba uważać, że zaraz przy samem rozpoczęciu  
mowy, rebe Chaim kiwnął głową raz. To jest duża  
rzecz!

W tem kiwnięciu nie było słów, ale było zna-  
czenie głębokie. Było uznanie słuszności skargi, po-  
twierdzenie, że obywatelom Czarnegoblota krzywda  
się dzieje, zachęta do dalszego mówienia.

Delegata nie trzeba było o to dwa razy prosić.

Człowiek wymowny, lubił się z darem kraso-  
mówczym popisywać, zwłaszcza w takim domu,  
wobec takiej osoby! Jak zaczął malować przybysza  
czarnym kolorem, to można było mniemać, że wziął  
wszystką czarność ziemi, przepaści, głębin morskich  
i piekieł, wszelką obrzydliwość wnętrza bagien  
i wszelką ciemność nocy.

Sluchając opowiadania o niegodziwcu, który  
przyszedł w te strony, aby psuć interes obywatelom  
czarnoblockim, mąż sprawiedliwy splunął.



To jest fakt. Splunął na sam środek stancyi i jednocześnie wytrząsnął fajkę, z której posypał się popiół i iskry.

Gdy Glancman to powiedział, po wszystkich członkach zgromadzenia dreszcz przeszedł.

Dobrze tak łotrowi, który nie szanuje praw, wdzierając się w sferę interesów obywateli czarnobłoczkich i odbierając im słusznie należny zarobek. Oplwane niech będzie imię jego, a on sam niech zginie w gorącym popiele i iskrach, jak na to zasłużył.

Choćby Glancman nie przywiózł był z Kopytkowa nic więcej nad wiadomość o splunięciu i wytrząśnięciu popiołu z fajki, to i tak przywiózłby już bardzo wiele; ale nie na tem koniec.

Drobiazgowa relacya Glancmana zawierała jeszcze kilka punktów niezmiernie ważnych, a przede wszystkim ten, że kiedy sprawiedliwy mąż usłyszał o pisaniu i kilku denuncyacyach, jakie na niego dziwego człowieka podano, to uśmiechnął się i znowu kiwnął głową.

Czy może być ważniejsze i poważniejsze za twierdzenie czynu? To kiwnięcie głową było niby złota pieczęć na pergaminie, znaczyło ono tyle, co zupełne uznanie i pochwała zarazem.

Wszyscy byli przekonani, że dzięki temu kiwnięciu, wszystkie środki, przedsięwzięte przeciwko intruzowi, będą niezawodnie skuteczne.

Pozna on smak, dowie się, co to znaczy wchodzić tam, gdzie nie potrzeba i robić to, co nie należy. Uciekać będzie, gdzie pieprz rośnie, a nietylko synom swoim, ale wnukom zapowie, ażeby omijali Czarnełoto zdaleka, gdyż tam są ludzie, którzy w obronie praw swoich potrafią stanąć, niby lwica, gdy kto jej młode chce zabrać.

Jak zmęczony podróżnik na pustyni, wyczer-

pany z sił, znużony od gorąca i trawiony pragnieniem, znalazłszy źródło, ochłodzi się i wzmocni, tak zgromadzeni pod „Zielonym łabędziem“, usłyszawszy opowiadanie Glancmana, ochłodzili się, orzeźwili i wzmocnili.

W serce każdego z nich wstąpiło uspokojenie i nadzieja, weszła pewność, że pohańbieni i upokorzeni zostaną wrogowie jego, a on sam, jako część ludności czarnobłockiej, żyć będzie sam w sobie i w Czarnembłocie spokojnie, bez żadnej przeszkody.

Niema się co dziwić, że paradna sala pani Małki napełniła się gwarem radosnym, tym przyjemnym gwarem, który świadczy, że wszyscy obecni zrobili dobry interes i że mają serca, napełnione otuchą.

Ale i nie na tem jeszcze był koniec relacji Glancmana; mąż ten albowiem, zdając sprawę ze swojej misji, zachowywał się tak, jak ów kupiec klejnotów, który z początku pokazuje ładne, kolorowe, ale nie najdroższe kamienie, następnie perły coraz to większe, a na samym końcu dopiero wydobywa wielki, wspaniały brylant, taki brylant, co olśniewa oczy blaskiem, duszę napełnia pożądliwością, a z piersi wydobywa okrzyk zachwyty.

Glancman postępował tak samo, jak ów handlarz klejnotów.

W relacji, jaką zdawał zgromadzonym, splunięcie i wytrząśnięcie popiołu z fajki podobne było garści rozsypanych rubinów, szmaragdów, szafirów i tym podobnych migotliwych, barwnych kamieni; kiwnięcie głową i uśmiech równało się wielkiej perle uryańskiej, ale w zapasie, na sam ostatek, pozostał jeszcze brylant.

Brylant czystej wody, tak drogi, że aż nie mający ceny.

Glancman uderzył silnie ręką w stół, na znak, iż zgromadzenie ma się uciszyć, a kiedy już po nad głowami mężów przeleciał cichy ptak milczenia, kiedy wszyscy, niby miecze do pochew, wsunęli języki za opasanie zębów swoich, wówczas zabrał głos i mówił dalej.

I opowiedział, że w słowach pełnych oburzenia, zgrozy i żalu odmalował położenie mieszkańców Czarnegoblota, czas, który się psuje coraz fatalniej, wspomniał o interesach, jako te stają się coraz trudniejsze i mniej korzystne, wreszcie dodał, że po nad miasteczkiem, niby stada wron kraczących, przelatują różne przykre wieści, według których, oby nie w złą godzinę wymówić! porządny obywatelom i kupcom niewolno będzie handlować wódką, tak, jakby chcieli, ani mieć takich zysków, jakby chcieli.

Odmalował to wszystko szczegółowo, dokładnie, właśnie jak chory, gdy przed znakomitym lekarzem odsłania rany swoje i na dolegliwości wielkie się skarży.

Wyraziwszy zaś wszystko, co mu na sercu leżało, ośmielił się zapytać: co będzie?

Co będzie?

Dość długo wielki mąż na słowa swoje czekać kazał. Snać rozważał w myśli i kombinował. Sięgnął ręką po fajkę, nałożył ją tytuniem, zapalił, pociągnął, wypuścił z ust kilka dużych kłębow dymu, popatrzył w sufit i rzekł:

— Będzie, jak było...

Gdyby na głowy zgromadzonych zaczął nagle padać złoty deszcz, perłowy grad, gęsty śnieg z samych bankocetli, nie sprawiłby im takiej radości, jak to krótkie, a przecież takie wielkie powiedzenie:

— Będzie, jak było!

— I to prawda? — zapytano.

— Tak, prawda, jak teraz mamy wieczór.

— Nie przesłyszałeś się?

— Ja miałbym się przesłyszeć? Czy wam się zdaje, że kiedy ja tam byłem, to ja byłem wtenczas Glancman? Nie! Ja byłem wtedy oko! Nic, tylko jedno wielkie oko! A kiedy usta swoje otworzył i wielkie słowo, niby rajskiego ptaka, miał z nich wypuścić, to ja byłem jedno wielkie ucho! A kiedy on ruchem głowy i oczami swojemi dał mi poznać, że już nic więcej nie usłyszę i że wypada mi odejść, to ja zrobiłem się skrzydło ptaka, żeby do was z nowiną przylecieć! Przyleciałem i powiedziałem wam wszystko, teraz możecie iść i roznieść to po całym mieście. Niech wszyscy wiedzą.

— Niech wiedzą, ma się rozumieć, niech wiedzą!

— Niech to nie będzie tajemnicą ani dla biedaka, ani dla kobiety, ani dla dziecka, niech wszyscy do syta najedzą się radością i napoją uspokojeniem.

Stojący bliżej drzwi z głośnym szmerem zadowolenia zaczęli wychodzić. Pani Małka zaś z trudnością przecisnęła się do okna i otworzyła je szeroko.

Wiatr przez nie wpadał i drzwiami otwartymi wybiegał, muskając brody mężów, a zarazem rozrzedzał atmosferę, zgęszczoną od nagłego rozradowania się tylu duchów.

W kilka chwil później zgromadzenie się rozeszło. W paradnej sali, oprócz Małki, Mojsia i jego przyjaciela, Engelmana, pozostał tylko Glancman, Jankiel Bas i jeszcze dwóch kupców.

Rozmawiali oni, a jako jest w obyczaju uczonych, aby do każdej sentencji, do każdego wielkiego wyrazu, dorabiać zaraz komentarz i do tego znów komentarza jeszcze jeden komentarz, tak i w tym wypadku każdy komentarze swoje dodawał.



— I cóż — rzekł w końcu Jankiel Bas — czym nie mówił, że nie mamy powodu tak bardzo się obawiać tego łajdaka?

— Byliście w strachu, tak samo, jak wszyscy.

— W strachu? Dlaczego nie miałem być w strachu, jeżeli on zaczął skupować zboże od ludzi, z którymi ja handluję? Owszem, byłem w strachu, ale swoją drogą mówiłem, że nie mamy czego się obawiać.

— Ech! — rzekł na to Engelman — taka już jest nasza natura, że często bywamy w strachu, choć niema czego się bać.

— Alboż mało nas strasz yli? — wtrącił nieśmiało Mojsie?

— Prawda, że strasz yli, i to nawet wielkimi strachami, ale co zrobili nam? — dorzucił Engelman. — Straszył nas Faraon w Egipcie, strasz yli Filistyny, strasz yli wielki paskudnik Haman, a gdzie oni teraz są? Ich dawno dyabli wzięli, a my jesteśmy i siedzimy sobie w Czarnobłocie i siedzieć będziemy, daj Boże, jak najdłużej. Czego się bać?

— Prawda. Czego się bać?

— No — rzekła z uśmiechem pani Małka — teraz, jak usłyszeliście wielkie słowo i jak wleźliście za to słowo, jak za piec, to jesteście bardzo odważni.

Mojsie ośmielił się delikatnie zauważyć, że w kwestyach tak poważnych głos kobiety wcale nie jest głosem, a ponieważ taka mowa groziła sprzeczką małżeńską, Engelman, chcąc ją odwrócić, stuknął mocno w stół i szeroko zaczął się rozwodzić nad położeniem.

Następnie Jankiel Bas podniósł kwestyę, o co-by jeszcze można oskarżyć przybysza, który śmie prawa obywateli czarnobłockich naruszać?

Wprawdzie to, co się już zrobiło i co znalazło

potwierdzenie i uznanie w Kopytkowie, wystarczy, ażeby intruza dyabli wzięli, ale dla pewności nie zaszkodzi, jeżeli go wezmą dwa razy. Na co robić z nim ceremonie? Chce drugich gubić, niech ginie sam, skoro jest taki lajdak.

Tego wieczora nad Czarnemłotem unosił się wielki obłok radości, wszyscy byli szczęśliwi i cieszyli się wiadomościami, które przywiózł Glancman.

Niektórzy jeszcze na noc, niektórzy wczesnym rankiem posiadali na biedki i puścili się w okolicę za interesami, pełni otuchy, że im się powiedzie i że cokolwiek pod taką dobrą wróżbą rozpoczną, będzie uwieńczone najpomysłniejszym skutkiem.

Jankiel Bas wybrał się w dalszą podróż do miasta gubernialnego, ale przed wyjazdem odbył konferencyę z Glancmanem, a podczas niej często było wspomинane nazwisko dzierżawcy Zatraceńca.

Na skutek tej konferencyi, Glancman udał się nazajutrz do pana Boreckiego do Brzozówki i miał tam rzucić kilka słów bardzo znaczących.

Dworek brzozowiecki tonał w ogrodzie, był on drewniany i niezbyt obszerny, ale na potrzeby rodziny wystarczał. Dla wszystkich jej członków były miłe, wygodne kąciki i nikt się nie mógł na ciasnotę uskarżać.

Pan Borecki miał swoją kancelaryę z wejściem oddzielnem, ciotka swój pokój, panienki także, a prócz tego jeszcze był duży pokój stołowy i salon.

W tym ostatnim niepodzielnie panowały panienki. One utrzymywały porządek, one własnymi rękami wyrabiały dla ozdoby przeróżne firanki, serwetki, patarafki i osobliwsze arcydzieła krzyżowe, siatkowe i szydelkowe; one to pielęgnowały rośliny na oknach i letnią porą dostarczały bukietów.

Czysto tam było, jak w pudełeczku, a staro-

świeckie, jesionowe, czarną włosienicą kryte meble wyglądały tak świeżo, jak gdyby je tylko co wprost od stolarza przywieziono.

Latem panował tam ciągle zapach róż, rezedy, lewkonij, gwoźdźników i wszystkich tych pospolitych ale wdzięcznych kwiatów, jakie panienki w ogrodzie pielęgnowały. Na każdym stole stał bukiet, ułożony piramidalnie, z trawką włoską we środku, a z grubym podkładem z rezedy u spodu.

Bywały też i niezapominajki, na płaskich fajansowych salaterkach, szeroko rozłożone. Panienki same je zbierały, a nie trzeba było po te kwiatki pamięci chodzić daleko, bo one rosły zaraz za ogrodem, po obu stronach szerokiego rowu, który łąkę przerzynał.

Oprócz bukietów i niezapominajek, nie brakło w salonie i innych, trwalszych roślin. Wszystkie okna były niemi ubrane i nietylko okna, bo oleandry aż do pułapu sięgały, a gdy zakwitły i całe się różowemi bukietami okryły, to taki zapach był, jakby kto worek migdałów gorzkich rozsypał.

Jedno okno zajmowała całkowicie na drewnianej kratce rozpięta asklepia, piękna roślina, mająca kwiatki białe, niby z wosku zrobione i miodem pachnące.

Bywał nieraz kłopot z powodu tej rośliny, gdyż zwabione zapachem osy i pszczoły zlatywały się do niej i trudno je było wypędzić.

Były pelargonie i geranie, były fuksye rozmaite, czerwone z białemi środkami, białe z fiołkowemi, były mirty, bo jakżeż bez nich w domu, gdzie są panny? Przecie nie wypada pożyczać skąd na wesele.

Rośliny nie mogły się pomieścić na oknach, zrobiono więc dla nich schodki sosnowe, pomalowane na zielono. Było z tem kłopotu coniemiarą, bo

karbowy Filip, który, jako trochę majstrowaty i umiejący się obchodzić z siekierą, podjął się je zrobić, strasznie z tem marudził. Tłumaczył się, że desek takich cienkich nie ma i czasu, a może trochę i pana Boreckiego się bał, żeby go nie zdyfamował za to, że, zamiast skrzynie do kartofli połatać, głupstwami się trudni.

Ale jakoś pokonano przeszkody. Deski wypatrzyła w szopie panna Zofia, Filip zaś skorzystał z czasu, kiedy pana Boreckiego w domu nie było i schodki zmajstrował.

Narobił się chłopisko, to prawda, ale nie darmo, bo dostał od panny Jadwigi kielich gorzałki i taki kawał chleba z masłem i serem, że go, w spokojności usiadłszy, ze trzy kwadrans jadł i ledwie zjadł, choć się dobrze zwijał.

Ale znów się kłopot wywiązał. Trudnoż było wstawiać do pokoju takie białe schodki sosnowe; należało je wpierw pomalować.

Przy tej okazji dopiero panny przekonały się, jak trudną sztuką jest malarstwo, zwłaszcza, gdy kto chce koniecznie, żeby schodki były zielone.

Ciotka mówiła, żeby nie grymasić i nie szukać wiatru w polu, kiedy w domu, Bogu dzięki, jest farbka do bielizny; ale sama się przekonała, że to do niczego, schodki bowiem stały się nie niebieskie, ale jakieś srokate, łaciaste.

Próbowano poprawić ten kolor wiórkami — jeszcze gorzej — i byłoby wypadło wyrzec się schodków, ale panienki nie dały za wygraną. Przy pierwszej bytności w Czarnembłocie, kupiły prawdziwej zielonej farby i umalowały schodki tak pięknie, że nic do życzenia. Kiedy wyschły, wniesiono je z tryumfem do salonu i zastawiono kwiatami.

Panny były uradowane, a nawet ciotka, osoba



do zachwytu nie skora i na pochwały nie szczodra, przyznała, że pokój dużo lepiej wygląda i kwiaty piękniej się prezentują.

Tak się jakoś szczęśliwie złożyło z temi schodkami i przyozdobieniem salonu, że kiedy pan Stanisław po raz pierwszy przyjechał, zastał je już i bardzo uważnie się przyglądał; widać, że mu się podobały; gdy zaś matka jego złożyła wizytę w Brzozówce, to się tych ślicznych kwiatów nachwalić nie mogła.

Zaraz kazała zrobić takie same schodki i domek na leśniczówce niemi przyozdobiła, panienki zaś dały jej kilkanaście doniczek na rozmnożenie.

Kiedy pan Stanisław te kwiaty zabierał, chciał koniecznie wiedzieć, który od której panny jest darowany, ale nie dowiedział się nic — niech zgaduje.

Dopiero za następną bytnością, kiedy znów zaczął się pilnie dopytywać, Jadwinia wygadała się niechcący, że kwitnący oleander jest od Zosi.

Później młody leśnik wspominał często, że ze wszystkich roślin, jakie zna na świecie, najpiękniejszą jest oleander, i to nie tylko podczas kwitnienia, ale i wówczas nawet, gdy choruje, utraci liście i stanie się podobnym do starej miotły.

Jadwinia-bo nigdy nie umiała utrzymać sekretu; wygadała się też przypadkiem, że siostra jej lubi niezmiernie konwalie, a naprawdę ona je polubiła dopiero od czasu, gdy jej pan Stanisław cały pęk tych białych kwiatuszków w lesie nazbierał i przywiózł.

Niewiele brakowało, by wypaplała, że trzy gałązki konwalii są zasuszone w książce do nabożeństwa i że je Zosia z sobą zawsze do kościoła wozi.

Raz już... tylko co... o maleńki włos... nie powiedziała i o tem; ale Zosia wywołała ją na ganek i tak prosiła, tak prosiła, na wszystko, że wymogła na niej

najsolenniejsze przyrzeczenie, iż będzie uważna i że ani słoweczka niepotrzebnego nie powie. Onby sobie mógł Bóg wie co myśleć, a przecież w tem niema nic; doprawdy, nic w tem niema...

Mówiąc, że niema nic, Zosia rumieniła się, jak poziomka i spuszczała oczy, ale to więcej z obawy, aby pan Stanisław nie dowiedział się, niż z innego powodu.

Spodziewano się, że pani Zawadzka z synem przyjedzie przed wieczorem, zapowiedziała bowiem swoją bytność ciotce, gdy się w kościele spotkały. Z tego powodu świeżutki zawsze salon wyświeżony został jeszcze lepiej, nadzwyczajnie. Bukiety, jeszcze nie zwiędnięte, wyrzucono na śmiecie, a zastąpiono je nowemi, z których jeden, z samych centofolij, był gruby, jak dobrej więzi snopek.

Grzechem byłoby żałować róż, gdy jest ich taka masa w ogrodzie. Kilkadziesiąt krzaków potężnych, a wszystkie jakby oblepione kwiatami.

Bukiety robiły panienki popołudniu i spryskały je wodą, żeby na przybycie gości wyglądały świeżutko.

Jadwinia ciągle spoglądała na zegar, panna Zofia udawała, że ją czas niewiele obchodzi i na zegar wcale nie zwracała oczu, ale to tylko taki wykręt paniński. Nie patrzyła na zegar, ale po słońcu, po cieniu, jaki od drzew padał, wiedziała doskonale, która godzina, i wiedziała również dobrze, że czas się wlecze, jak żółw. Zauważyła także, iż kalafiory mają bardzo sucho, i że trzeba je dobrze podlać, wciąż też chodziła tam z polewaczką.

Prawdę rzekłszy, kalafiory mogłyby się jeszcze ze dwa dni bez podlewania obejść, ale zagonek, na którym rosły, znajdował się tuż przy parkanie, na końcu ogrodu, a stamtąd był widok na drogę.

Oczekiwani goście nie spieszyli jakoś, bo słońce schylało się coraz niżej, a ich ani widać.

Naraz dało się słyszeć ujadanie psów we wsi.

— Pewnie jada! — zawołała Jadwinia.

— Może — odrzekła siostra, udając obojętną.

— Zobaczę!

— Jak chcesz.

Dziewczynka pobiegła na koniec ogrodu i niebawem powróciła zadyszana.

— Jada, Zosiu, naprawdę jada! Są już za wsią!

— Poznałaś?

— A jakże!

— Ciekawam, jak można poznać kogo z takiej odległości?

— Kurz widać, Zosiu, jak cię Kocham! Ja już słyszę turkot bryczki, a ty nie?

— Ani trochę.

— To dziwne, bo ja wybornie; teraz skręcili koło ogrodu. Słyszysz?

— Może... rzeczywiście...

— Ależ, naprawdę! Trzeba powiedzieć cioci.

— To powiedz.

— Ja wyjrzę z ganku!

Z temi słowy wybiegła, a niedługo dał się słyszeć turkot przed gankiem. Jadwinia zaraz wróciła.

— Cóż? — zapytała Zosia — przyjechali?

— Tak, przyjechał... Glancman i właśnie opędza się od psów.

— Glancman — rzekła panna Zofia i zrobiła przytem dziwny grymas ustami.

Żeby wielki delegat, który jeździł z Czarnego-błota do Kopytkowa w nadzwyczajnej misyi od całego miasta, mógł widzieć wrażenie, jakie dźwięk jego nazwiska na panie Zofii wywołał, dziwiłby się zapewne niepomierne.

Glanzman! Czy to nazwisko źle brzmi? Czy nie jest miękie, jak aksamit? Czy nie usposabia przychylnie dla człowieka, który je nosi?

Zdaje się, że dość jest wymówić: Glanzman, aby wyobrazić sobie człowieka jedwabnego, gładkiego, pełnego delikatności i elegancji, mającego względnie czystą kaptotę i tombakowy zegarek, a ta panna krzywi się, jak gdyby zjadła cytrynę. Słusznie mówi, że są rzeczy, na których kobieta nigdy się nie pozna, gdyż rozum jej na taki interes za słaby.

Glanzman, stoczywszy rozpaczliwą walkę z psami, z której wyszedł cało i szczęśliwie, gdyż mu od strony kuchni posiłki przybyły, udał się wprost do kancelaryi pana Boreckiego.

Zaraz na wstępie oświadczył, że szczególnego interesu niema, że wstąpił tylko tak sobie, aby dowiedzieć się o zdrowiu, a przy tej okazji zapytać, czy przypadkiem niema jakiego ziarna na sprzedaż?

— Dlaczego przypadkiem? — zapytał gospodarz. — Przecież nie z przypadku, lecz naumyślnie zboże sieję i naumyślnie je sprzedaję.

— Ja wiem, ale pan dobrodziej niezawsze lubi sprzedać wtenczas, kiedy my chcemy kupić; dlatego pytam, czy pan nie ma na sprzedaż przypadkiem.

— Trudno, niezawsze można sprzedawać, kiedy wam się podoba; czas płaci, czas traci.

— No, alboż my nie ryzykujemy? Handel zbożem to jest tak, jak granie w karty, dziś pan, jutro kapcan; ale zawsze trzeba cokolwiek ryzykować.

— Ja wolę nie ryzykować.

— I to jest dobrze, ale jak czasem. Ryzykując, można stracić i nie ryzykując, można nie zarobić, bo prawdziwie mówiąc, nieryzykowanie to jest także ryzykowanie, tylko w innym gatunku.

— Jakto?



— Bardzo prostym sposobem: Jeżeli ja kupuję naprzód zboże i później ceny spadną, to tracę, bo ryzykowałem z góry; jeżeli pan trzyma zboże w śpich-rzu i czeka na ceny lepsze, a doczeka się gorszych, to pan także straci, ponieważ pan ryzykował od dołu. Panie dobrodziej, wszystko jest na świecie ryzyko, oprócz szczęścia.

— Tak, ale gdzie go szukać?

— Na co szukać? Jak ono ma do kogo przyjść, to samo przyjdzie, nawet niewołane i nieproszone; a jak niema przyjść, to choćby człowiek stanął na środku rynku i cały dzień krzyczał „aj, waj!” — to ono też nie przyjdzie. Niedaleko szukając, mamy przykład w naszej okolicy, bliźiutko, z panem Różańskim. Czy on się spodziewał, że na niego taki majątek patrzy? Pan dobrodziej zapewne słyszał coś o tem.

— A słyszałem, coś mówią.

— Mówią? Wielmożny panie, oni nie mówią, ale krzyczą a zazdroszczą!... Ja sam widziałem takich, co, kiedy usłyszeli o tym interesie, zrobili się całkiem zielone, wszystka żółć się w nich poruszyła z zazdrości! Pana Różańskiego interesa bardzo się poprawiły, on też duży pan się zrobił, kredyt w mieście ma, żeby tylko chciał!...

— A nie chce?

— Proszę pana, zwyczajnie tak bywa, że kto kredyt ma, rzadko kiedy go żąda, a kto nie ma, toby wciąż pożyczzał. Pan Różański nie lubi pożyczać. On ma taką naturę, jak wielmożny pan.

— A ilebyście mu mogli skredytować?

— Ileby sam chciał! Pięć, dziesięć tysięcy. Niech tylko słowo powie, a w tej chwili całe Czarne-błoto się poruszy. Każdy ściągnie z żony perły,

wyjmie jej z uszu kolczyki, zastawi, a da. Jak takimu panu nie dać? Niech pan dobrodziej sam powie? Jak nie dać?

— A mnie dalibyście, gdybym potrzebował? Glancman zrobił bardzo uprzejmą minę.

— Komu kredytować, jeżeli nie panu?

— Ba! a z czegobym oddawał?

— Niech pan żartuje zdrów! Wielmożny pan jest znany bogacz w okolicy.

— Nie liczyliście moich kapitałów.

— Czy pan myśli, że tylko to bogactwo, co policzone, jest bogactwem? Podług mojego rozumienia, więcej jest na świecie niepoliczonych skarbów, niż rachowanych. Zdaje się, że tak?

— Być może.

— Pan dobrodziej, prócz tego, co ma, może mieć jeszcze dużo, bardzo dużo. A pana córeczki! Takie piękne, edukowane panienki! One dostaną bogatych mężów, im się to należy.

— Jeszcze czas.

— Dlaczego czas? Skoro są panienki, to trzeba i zięciów. Ja znam takiego pana, co z dużym majątkiem, z wielkim majątkiem, co mógłby grymasić i kawałek hrabianki poszukać, a przecież chciałby zostać zięciem pana dobrodzieja. Pan zapewne miarkuje, że ja o panu Różańskim mówię. Godny kawaler, lepszego w okolicy nie znajdzie... Co pan dobrodziej myśli o tym interesie?

Borecki brwi zmarszczył i rzekł poważnie:

— Słuchaj-no, mój panie Glancman, jeżeli będę miał na sprzedaż pszenicę, kartofle, rzepak, to będę z tobą chętnie mówił, ale córek przez twoje ręce pozbywać się nie myślę. Niech cię to nie obraża, ale radzę ci, abyś się w nieswoje rzeczy nie wdawał.

<http://rcin.org.pl>

— Ja nie rozumiem wielmożnego pana. Czy dlatego, że ja nazywam się Glancman, nie potrafię być życzliwym? Dlaczego?

— Dlatego, że to do ciebie nie należy i zrobisz mi wielką przyjemność, jeżeli zechcesz rozmawiać o czem innem.

Glancman próbował jeszcze, aby do tego przedmiotu powrócić, ale widząc, że to się na nic nie zda, odjechał.

— No — mówił do siebie, siedząc już na biedce i poganiając chudego konia — ty panie szlachcic nie chcesz Żyda swata, ale co Glancman powiedział, to już ci mocno w głowie siedzi. Ty lubisz pieniądze i ty się na nie zląkomisz. Sam będziesz się starał o Różańskiego na męża dla swojej kochanej córeczki. Owszem, szukaj, złapiesz się. Śliczny zięć, bardzo fajny kawaler!

Kiedy pan Borecki, zakończywszy rozmowę z Glancmanem i wydawszy Filipowi dyspozycję robót na jutrzejszy dzień, przyszedł do „salonu“, zastał tam siostrę swą, córki i gości w bardzo wesołym nastroju ducha.

Pani Zawadzka z ciotką Gertrudą rozmawiała z wielkiem ożywieniem o najlepszym sposobie marynowania grzybów, a panienki z panem Stanisławem o kwiatach i o lesie.

Pokazało się z rozmowy, że panny bardzo lubią las, ale panna Jadwiga bałaby się w nim mieszkać, zwłaszcza w zimie, głównie z powodu wilków; panna Zofia dała się słyszeć ze zdaniem, że wilk nie jest bynajmniej tak straszny, jak mówią, i że szczególnie zdaleka jest to nawet dość przyjemne zwierzętko, podobne bardzo do Burka, psa podwórzowego, który tak Glancmana przestraszył. Niema żadnej

racyi obawiać się wilka, tembardziej, że, jak mówi pan Stanisław, wilk boi się ludzi i ucieka przed nimi. Można temu wierzyć, bo pan Stanisław zna się na wilkach doskonale i niejednego już zastrzelił.

Nieznośne są zegary; gdy potrzeba, żeby się spieszyły, chodzą niesłychanie powoli; gdy jest pożądanę towarzystwo, miła rozmowa, — mierzą godziny ze złośliwą szybkością.

Tyleby jeszcze było do powiedzenia, tyle zapytań ciśnie się na usta, a tu szkaradne zegarzysko dzwoni i gdacze: „Już czas, już czas, już czas!“

I pod wpływem tego gdakania, starszym zaczynają się oczy przymykać, jakby senne; lampa się dopala, samowar stygnie, a sprzymierzeniec niegodziwych zegarów, wielki kogut czubaty, drze się na grzędzie, jak potępieniec, budzi Wojtka, aby konie zaprzęgał i przed ganek zajeżdżał z turkotem.

W bezmyślnej, skrzypiącej maszynie do mierzenia czasu siedzi jakiś chochlik złośliwy, duch przeciwieństwa i psoty, bawi się kosztem młodych dziewcząt i chłopców, psuje mechanizm, zatrzymując kółka, lub do szybkich je przynaglając obrotów, przerywa rozmowę w chwili najciekawszej, właśnie w takim momencie, kiedy już, już, niby mała ptaszyna z gałązki, miało się zerwać z ust jedno słówko, jedno tylko, ale jakie!... I nie... przeszkodził niegodziwiec! Kazał wstać, zegnać się, szukać okrycia dla matki, mówiąc: „Dobranoc, panie dobrodzieju!“ Bardzo ten „dobrodziej“ jest w takiej chwili potrzebny! Nic nie pomoże, trzeba czekać drugiej wizyty, a kiedyż ona będzie?! Pannie Zofii robi się smutno, a ten młody trzpiot, Jadwinia, śmieje się tylko i jak się śmieje! Śmieją się jej oczy, usta, wszystkie dołeczki na twarzy. To jest niegodziwość, żeby rodzoną siostrę tak



wysztydzać! Odjechali... Przytem pani Zawadzka zaprosiła ciotkę Gertrudę i panienki na zbieranie grzybów do lasu i na podwieczorek. Zacności kobieta, jak ona rozumie, że bez zapasu grzybów na zimę trudno się obejść i że żadne nie mogą być lepsze nad te, które koło Majdanu rosną i które się własnymi zbierze rękami. Nazajutrz rano Jadwinia zastanawiała się bardzo poważnie nad pytaniem, co to może znaczyć, że Zosi całą noc śniły się grzyby?

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

KONCESJE LEŚNE W MANDZURJI  
W. KOWALSKIEGO

KONCESJE LEŚNE W MANDZURJI  
W. KOWALSKIEGO









↓  
2605  
A-2